Numer zawiera 12 stron

Cena 7 zł.

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Prawdziwy socjalizm nie zagraża porządkowi publicznemu, nie zachęca do materialnego nieładu, do rozruchów ulicznych i do ich następstw. Nie był on nigdy nieprzyjacielem władzy. Wskazuje on tylko, że w starym społeczeństwie nie istnieje żadna posada, na której można by zbudować prawowitą władzę, to jest stosowną do potrzeb dzisiejszej ludzkości".

1849 r. ADAM MICKIEWICZ

Rok 2 **Łódź, 25 lutego 1946 r.** **Nr 7 (25)**

E. WARGA

Rola państwa w gospodarce wojennej krajów kapitalistycznych *)

Jednym z doniosłych wyników drugiej wojny światowej jest fakt, *że we wszystkich krajach burżuazyjnych, zarówno wojujących, jak i neutralnych, państwo zdobyło decydujące znaczenie w gospodarce wojennej.* W związku z tym zmienił się głęboko i sam charakter gospodarki.

W ciągu ostatniego stulecia stosunek państwa do życia gospodarczego ulegał różnorodnym zmianom.

W okresie rozwoju kapitalizmu przemysłowego, po obaleniu władzy państwowej feudałów i wyzwoleniu sił wytwórczych z więzów feudalizmu, państwo ograniczyło się do ochrony własności prywatnej. Były to czasy tzw. „manchesteryzmu", wolności handlu, kiedy przeważało przekonanie, że jeśli każda jednostka będzie postępowała zgodnie ze swoim interesem prywatnym, to w ostatecznym wyniku zapanuje dobrobyt całego społeczeństwa i dlatego *też państwo* nie powinno wtrącać się w żadnej postaci do gospodarstwa kapitalistycznego. Ekonomicznym założeniem tej teorii był fakt, że rynek kapitalistyczny *przeżywał* wtedy okres szybkiego *rozrastania* się w związku z rozwojem samego kapitalizmu i na skutek wciągania niekapitalistycznych przed tym *elementów*, (chałupników, rzemieślników i t.p.) do kapitalistycznego obrotu towarów.

Dlatego sprzeczność między dążeniem kapitału do nieograniczonego rozwoju a ograniczoną siłą nabywczą społeczeństwa nie była jeszcze ostra, ujawniała się jedynie w krótkich stosunkowo okresach kryzysów. Nauka o wolności handlu sprzyjała przede wszystkim interesom Anglii, która była wtedy tzw. „fabryką świata".

Wraz ze stopniowym rozwojem monopolistycznej formy kapitalizmu, kiedy sprzeczność między dążeniem kapitału do rozrastania się i ograniczoną siłą nabywczą społeczeństwa zaostrza się, rola państwa w gospodarce wzrasta.

Zamiast teorii wolności handlu rozpowszechnia się coraz bardziej wszędzie (prócz Anglii) teoria, która twierdzi, że zadaniem państwa jest ochrona narodowego gospodarstwa kapitalistycznego. Stąd ochrona państwowa rynku wewnętrznego za pomocą ceł ochronnych, oddanie rynków kolonialnych do wyłącznej dyspozycji przemysłu metropolii, państwowe subsydiowanie dumpingu i t.d.

W okresie pierwszej wojny światowej działalność gospodarcza państwa znacznie się rozrosła. Interwencja państwa podczas wojny ma jednak inną, biegunowo przeciwną tendencję niż w okresie pokoju. W okresie pokoju państwo kapitalistyczne dąży przede wszystkim do tego, by pomóc przedsiębiorcom w znalezieniu rentownego *rynku zbytu* dla ich towarów. Podczas wojny, kiedy popyt na wszystkie towary (za wyjątkiem niektórych) przewyższa podaż, kiedy zagadnienia rynku"[1]) nie istnieją, kiedy na pierwszy plan wysuwają się kwestie prowadzenia wojny, państwo usiłuje nastawić produkcję i konsumpcję w ten sposób, by w pierwszym rzędzie zaspokoić potrzeby wojny.

Wszechstronna interwencja państwa, która miała miejsce podczas pierwszej wojny światowej, powoduje głębokie przemiany w gospodarce.

Lenin pisał w związku z tym zagadnieniem, co następuje:

„Kiedy kapitaliści pracują dla obrony t.j. dla skarbu, jest to już — oczywiście — nie czysty kapitalizm, ale specyficzna forma gospodarki narodowej. Kapitalizm w czystej postaci jest towarową produkcją. Towarowa produkcja jest pracą dla *nieznanego* i wolnego rynku. A „pracujący" dla obrony kapitalista nie „pracuje" wcale dla rynku, ale na *zamówienie* skarbu, często nawet dla pieniędzy, otrzymanych ze skarbu w formie pożyczki".[2]).

Dlatego, jak wiadomo, Lenin scharakteryzował gospodarkę wojenną pierwszej wojny światowej jako *„wojenno-monopolistyczny państwowy kapitalizm"*.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej działalność regulująca państwa kurczy się. Tym niemniej rola państwa w gospodarstwie kapitalistycznym była znacznie większa w okresie między dwiema światowymi wojnami, niż przed wybuchem wojny. Państwo wdzierało się coraz głębiej do życia gospodarczego, i to nie tylko za pomocą ceł ochronnych, lecz także drogą wyznaczania kontyngentów, zakazów przywozu, regulowania waluty, przymusowego zakładania karteli, za pomocą subsydiów i t.d.

Decydujące jednak znaczenie w gospodarstwie narodowym zdobywa państwo podczas drugiej wojny światowej.

Decydująca rola państwa w gospodarce wojennej jest wynikiem „totalnego" charakteru obecnej wojny światowej t.j. konieczności wykorzystania do maximum zasobów kraju dla celów wojny.

A było by to zupełnie niemożliwe, gdyby istniejący w czasie pokoju system produkcji nie uległ zmianie i podczas wojny; gdyby i podczas wojny zagadnienia tego rodzaju jak: co należy wytwarzać, jak powinny być wykorzystane surowce, jak rozmieścić siłę roboczą, jak winny być rozdzielone niewystarczające dla zaspokojenia potrzeb ilości artykułów pierwszej potrzeby i po jakich cenach należy sprzedawać towary — były rozstrzygane z punktu widzenia interesów prywatnych przedsiębiorców.

Gdyby państwo nie rozstrzygało podczas wojny w znacznej mierze samo, co *należy wytwarzać*, to w rezultacie duża ilość przedsiębiorstw wytwarzałaby zamiast produkcji wojennej tanie towary, które w danych warunkach dają jak największy zysk. W wielu wypadkach produkowano by zamiast broni, luksusowe, osobowe auta, zamiast fabryk wojskowych budowano by mieszkania i t.d.

Gdyby państwo *nie regulowało podziału surowców*, to znajdujące się w ograniczonych ilościach surowce, skupywałyby te przedsiębiorstwa, które w danej sytuacji rynkowej mogą płacić zań najwyższe ceny. W tym wypadku przemysł wojenny nie zawsze mógłby otrzymać niezbędne dla siebie surowce.

Gdyby państwo nie *rozmieszczało samo* znajdującej się w niewystarczającej ilości siły roboczej, miałyby ją w pierwszym rzędzie nie najważniejsze dla produkcji materiałów wojennych fabryki, ale te, które zgodnie z sytuacją rynku są w stanie płacić najwyższe płace robotnicze.

Gdyby państwo powierzyło *aprowizację* ludności cywilnej „wolnemu rynkowi", ceny produktów żywnościowych wzrastałyby nieustannie. Znaczna część artykułów pierwszej potrzeby, znajdujących się w ograniczonej ilości, byłaby skupywana, przechowywana i spożywana przez zamożnych ludzi. Fizyczna siła robotników miejskich, której przywrócenie jest niezbędne dla zapewnienia normalnej pracy w przemyśle wojennym, nie mogłaby być przywrócona z powodu niewystarczającej ilości pożywienia; spowodowałoby to z kolei spadek wydajności pracy.

Reasumując: *Państwo burżuazyjne, jako całość organizacyjna burżuazji musi użyć próby przymusowego podporządkowania poszczególnych prywatnych interesów, przedsiębiorstw i osób interesom prowadzenia wojny.* Udaje się to oczywiście tylko częściowo. Im silniejsze gospodarczo są poszczególne monopolistyczne przedsiębiorstwa, tym trudniej jest państwu podporządkować ich interesy prywatne interesom wojny. Powstają konflikty, które nie zawsze można rozstrzygnąć na korzyść państwa, tym bardziej, że przedstawiciele monopoli i organizacji, reprezentujących interesy poszczególnych gałęzi gospodarstwa, mają decydujący wpływ i na kierowniczy aparat państwowy.

Rola państwa, rozmiary jego wpływu na gospodarkę przodujących krajów kapitalistycznych, zależą w pierwszym rzędzie od stosunku między stanem zasobów, a potrzebami wojny. Im mniej korzystny jest ten stosunek, tym większa jest rola państwa; im korzystniejszy, tym słabsza. Najsilniejsze było oddziaływanie państwa w Niemczech; tam państwo „regulowało" każdą czynność gospodarczą do zbierania i oddawania kawałków szkła włącznie; oddziaływanie to w zestawieniu z innymi wojującymi krajami najsłabsze jest w Stanach Zjednoczonych, posiadających olbrzymie zasoby, gdzie i w czasie wojny pewne dziedziny życia gospodarczego pozostają poza kontrolą państwową.

Oddziaływanie państwa, mające na celu podporządkowanie gospodarstwa zadaniom prowadzenia wojny, kryje w sobie wewnętrzną sprzeczność. Im większe stają się w danym państwie kontrola i regulacja, tym więcej siły roboczej odchodzi od pracy produktywnej. Urzędniczy aparat państwa wyrasta do olbrzymich rozmiarów. Liczba państwowych urzędników w Stanach Zjednoczonych wzrasta w czasie wojny o 1,5 milj. ludzi; a nie liczymy pracowników fabryk państwowych i urzędników poszczególnych stanów i gmin. Danych o liczbie urzędników państwowych w Niemczech nie posiadamy. Pewne pojęcie o tym może dać opublikowane w prasie sprawozdanie biura kartkowego jednego z okręgów Berlina-Kreuzbergu.[3]). Wg. tych informacji okręg ten zamieszkuje 7 tysięcy rodzin, które biuro zaopatruje w kartki. Prócz tego biuro rozdziela surowce między rzemieślników tego okręgu. W tym tylko biurze pracuje 600 urzędników. Niemcy mają powyżej 20 miln. rodzin (gospodarstw domowych). Mimo to, że na wsi, gdzie wieśniacy zaopatrują się w żywność, potrzebna jest mniejsza ilość pracowników dla podziału kartek, to ogólną liczbę siły roboczej, zatrudnionej w kartkowym systemie aprowizacyjnym (w Niemczech istniały 62 rodzaje kartek, drukowanych w ilościach kilkudziesięciu milionów egzemplarzy miesięcznie) można określić na 1,5 miln. ludzi. Do tego należy dodać aparat „stanu aprowizacyjnego" w związku z ewidencją wszystkich produktów rolnych (ewidencja ta obejmuje nawet produkcję rolną poszczególnych gospodarstw wiejskich); dalej — aparat kontroli cen, handlu wewnętrznego i waluty, ewidencji i podziału surowców, środków transportowych i t.d. Należy przypuszczać, że nawet z pominięciem olbrzymiego aparatu ucisku — gestapo, SS i t.d. — aparat państwowy wiąże od 3 do 4 miln. ludzi. Liczba ta nie uwzględnia robotników, zatrudnionych w fabrykach państwowych i na kolei.

A teraz spróbujemy zilustrować rolę państwa w gospodarce wojennej liczbowymi danymi.

a) Państwo jest decydującym nabywcą towarów na rynku. W krajach wojujących państwo zakupuje znacznie więcej niż połowę wytwarzanych towarów.

Jako przykład można wskazać Anglię.

Na rok 1942-43 mamy o Anglii następujące oficjalne liczby (w miln. f. szt.).

Dochód społeczny 7,384.

Wydatki państwa w 1942/43 [4])

w roku budżetowym (rok budżetowy kończy się 31 marca) 5,740 [5])

Załóżmy, że 60 proc. wydatków państwowych ma charakter wydatków rzeczowych, jak zapłata towarów, a 40 proc. — osobowych, jak: pensje urzędników, oficerów i żołnierzy, procenty i umorzenie długów państwowych (b. możliwe, że procent wydatków rzeczowych jest jeszcze wyższy w związku z olbrzymimi kosztami, jakie pochłonęło uzbrojenie armii angielskiej). A więc państwo angielskie zakupiło w 1942 roku towarów na sumę około

3,500 miln. f. szt.

t.j. około połowy nominalnego dochodu społecznego.

Trzeba pamiętać o tym, że dochód społeczny obejmuje duże sumy, które nie zostały wytworzone bezpośrednio w toku produkcji, tj. nie są wartością na nowo wytworzoną w ciągu danego roku, a są faktycznie jedynie ponownym podziałem dochodów wytworzonych uprzednio (pensje urzędników, zarobki lekarzy, adwokatów, artystów, wpływy od procentów i pożyczek państwowych itd.). Stąd wniosek że państwo zakupiło znacznie więcej niż połowę całej, zawartej w wytworzonych w kraju towarach nowej wartości.

Tak też dzieje się w przybliżeniu i w Stanach Zjednoczonych[6]). Wydatki państwowe stanowią tu (w mlrd. dol.)

w 1941/42 roku budżetowym (kończy się 30 czerwca) — 32,4;

w 1942/43 roku budżetowym (kończy się 30 czerwca) — 78,2.

Wysokość wydatków na *zakup towarów* jest tu większa niż w Anglii, amerykańska armia bowiem była jeszcze liczebnie mała i duże sumy szły na budowę fabryk wojennych. Należy przypuszczać, że procent wydatków towarowych sięgał tu 75 proc. Stanowi to na rok 1942/43 około 59 mlrd. dol.

Dochód społeczny Stanów Zjednoczonych w 1942 r. ocenia się orientacyjnie na 110 mlrd. dol., a na 1943 r. na 148 mlrd. dol.[7]). Na rok budżetowy 1942/43 można więc przyjąć średnią liczbę 129 mlrd. dol. Po obliczeniu (tak jak zrobiliśmy odnośnie Anglii) dochodu od podwójnych opłat, który nie jest dochodem w prawdziwym tego słowa znaczeniu, okaże się, że towary, zakupywane w St. Zjedn. przez państwo stanowią około połowy nowej wartości, wyprodukowanej w kraju w ciągu roku. (Wymieniona wyżej suma dochodu społecznego obejmuje pensje całego personelu sił zbrojnych). [8]).

Ciężar gatunkowy państwa amerykańskiego jako nabywcy charakteryzuje poniższy cytat z londyńskiego „Economist" (25.12. 1943).

„Gdyby wojna zakończyła się teraz (tj. w końcu 1943 roku), to towary jeszcze nie dostarczone zgodnie ze zobowiązaniami, zaciągniętymi na mocy umów wojennych *przewyższyłyby sumę 75 miliardów dolarów.*

Suma ta równa się mniej więcej rocznej produkcji brutto przemysłu amerykańskiego przed drugą wojną światową.

O Niemczech nie mamy żadnych, nawet przypadkowych liczb; nie ulega jednak wątpliwości, że tam państwo zakupywało znacznie większą część produkcji towarowej, niż w krajach anglosaskich.

b) *Własność państwowa powiększyła się znacznie podczas wojny.*

W Anglii państwo samo wybudowało dużą część (a w St. Zjedn. nawet przeważającą część) nowych zakładów wojennych, kapitaliści bowiem nie chcieli ryzykować nowych wkładów pieniężnych.

---

1) Przyczyny tego zjawiska omawiamy szczegółowiej w innym miejscu.

2) Lenin, t. XX. str. 515.

3) „Berliner Börsen-Zeitung", 3.V. 1942.

4) Dane angielskiej Białej Księgi.

5) „Oxford Bulletin of Statistics" Nr. 4. 1944, p. 98.

*) Rozdział z pracy autora „Przemiany kapitalizmu w toku drugiej wojny światowej".

6) „Federal Reserve Bulletin" May 1944, p. 479.

7) ibid, p. 418.

8) „Federal Reserve Bulletin", May 1944, p. 418.

W St. Zjednoczonych państwo wybudowało w czasie wojny fabryki łącznej wartości 16 mlrd. dol., podczas gdy wartość wszystkich fabryk prywatnych w St. Zjednoczonych ocenia się na 50 — 60 mlrd. dol.[9]); prócz tego państwo wybudowało nową flotę handlową o pojemności od 15 — 20 mln. t. itd.

W Niemczech państwo przejęło znaczną część własności prywatnej i dużą część przedsiębiorstw przemysłowych krajów okupowanych.

Przejęcia tego państwo dokonało drogą bezpośrednią lub pośrednią np. za pośrednictwem koncernu Goeringa.

Szczególnie duży, bodaj większy niż w każdym innym kraju, był udział państwa w przemyśle i bankowości we Włoszech.

c) Państwo odbiera swoim obywatelom w postaci podatków znacznie większą część dochodu społecznego niż w czasie pokoju.

W Anglii w roku 1942/43 wpływy podatkowe przy nominalnym dochodzie społecznym wysokości 7,384 mln. f. szt. wyniosły 2,483 mln. f. szt. tj. około 34 proc.

Podobnie przedstawia się sytuacja we wszystkich krajach wojujących.

W St. Zjedn. wpływy podatków wyniosły bez ceł, w mlrd. dol.[10])

1941/42 rok budżetowy (kończy się 30 czerwca) —13,7, 1942/43 r.— 23,4, 1943/44 rok (pierwsze 9 miesięcy) — 30,8. Cały 1943/44 r. (tymczasowe zestawienie) — 42,0.

A więc w 1943/44 r. wpływy podatkowe stanowią około 25 proc. całej nominalnej sumy dochodu społecznego i mniej więcej 35 proc. rzeczywistego dochodu społecznego, t.j. wyprodukowanej w ciągu roku nowej wartości.

O wpływach podatkowych *Niemiec* mamy tylko dane półoficjalne, wg. których dochody te wynosiły 40 mlrd. marek rocznie, t.j. również około 35 proc. nominalnego dochodu społecznego.

d) Prócz podatków *państwo zabiera na swój użytek również część dochodów i majątku swoich obywateli w postaci pożyczek wojennych.*

Ogólna suma dochodu skarbu angielskiego t.j. podatki plus pożyczki wyniosła w roku budżetowym 1942/43

5,777 mln f. szt.

W ten sposób te wpływy państwa równają się 78 proc. nominalnego dochodu społecznego. Nie oznacza to oczywiście, że ludność Anglii musi się zadowolić konsumpcją tylko 22 proc. wyprodukowanej przez nią wartości: pobierana przez państwo w postaci podatków i pożyczek suma wraca z powrotem do ludności w postaci pensji żołnierskich, oficerskich i urzędniczych, wypłaty procentów od pożyczek państwowych, zapłaty za zakupione towary. Ma tu więc miejsce nie całkowite wycofanie wartości, jak to się często wydawać może, ale nowy podział dochodu i majątku.

Państwowe długi wszystkich krajów wojujących wzrosły bardzo podczas wojny. Po zakończeniu wojny państwo zmuszone będzie płacić procenty od niesłychanie zwiększonego długu państwowego. Dlatego też państwo będzie zmierzało i po wojnie do wykorzystania i nowego podziału dochodów swoich obywateli w znacznie większym stopniu niż przedtem. Wyjątek stanowią te kraje, gdzie inflacja likwiduje przymusowo sprzeczność między faktycznym zubożeniem kraju i wysokim poziomem dochodów, jakie tworzą procenty od państwowych długów.

e) *Państwo z zasady dysponuje siłą roboczą wszystkich obywateli,* wykorzystując ich do służby w armii lub do pracy produktywnej.

W Anglii, około połowy 1943 roku 8 miln. robotników zostało zmilitaryzowanych. Robotnicy ci mogą opuścić miejsce swej pracy tylko na rozkaz władzy wojskowej. Przeważająca część pozostałych robotników nie ma prawa zmienić miejsca pracy bez zezwolenia odpowiednich władz cywilnych.[11]).

W Niemczech po „mobilizacji totalnej" na wiosnę 1943 roku wszyscy mężczyźni w wieku od 16 do 65 lat i wszystkie kobiety do 45 lat zostali zmobilizowani, a wszyscy robotnicy zmilitaryzowani. Po ogłoszeniu „pospolitego ruszenia" (w połowie 1944 r.) wszyscy mieszkańcy kraju bez różnicy płci, nie wyłączając uczni, starców i chorych, zostali zmobilizowani do armii lub do robót.

W St. Zjedn., gdzie znacznie mniej daje się odczuć brak siły roboczej, kontrola nad wykorzystaniem tej siły jest znacznie słabsza.

f) *Państwo określa sposób użytkowania przeważającej części środków rzeczowych produkcji.* Ono to rozdziela surowce deficytowe, a w Europie wszystkie prawie surowce są deficytowe. Państwo ustala jakie środki produkcji należy wytwarzać i komu należy je oddać do dyspozycji; zakazuje wytwarzania określonych środków produkcji np. (maszyn dla przemysłu włókienniczego), budowy fabryk, produkujących artykuły pierwszej potrzeby i t.d. Państwo dysponuje wszystkimi środkami transportu, określa za pomocą standaryzacji jakość i rozmiar towarów produkowanych i t.d.

g) *Państwo ogranicza konsumcję ludności,* określa ilość i ceny produktów żywnościowych, rozdzielanych pod kontrolą aparatu państwowego. Zakres działalności państwa w związku z regulowaniem konsumcji zależy od stopnia napięcia sił wytwórczych w czasie wojny. Napięcie to było największe w Niemczech i krajach przez nie okupowanych, najsłabsze w St. Zjednoczonych. W Niemczech wszystkie artykuły żywnościowe do jagód włącznie podlegają (przynajmniej na papierze) regulacji państwowej. W St. Zjedn. ograniczenia wprowadzono tylko przejściowo i na poszczególne artykuły: mięso, kawa, cukier.

W ten sam sposób państwo ogranicza ilość konsumowanych przez ludność cywilną towarów przemysłowych. W St. Zj. ograniczono głównie produkcję przedmiotów długotrwałego użytku jak: aut, chłodnic i t.d. W Niemczech od piątego roku wojny począwszy, ludność cywilna nie otrzymuje prawie zupełnie artykułów przemysłowych pierwszej potrzeby; tylko dzieci i osoby, które ucierpiały na skutek nalotów dostają odzież i obuwie. Rozmiary ograniczenia konsumcji w innych krajach chwieją się w granicach między omówionymi powyżej dwoma krańcowymi wypadkami.

Ograniczenie konsumcji ludności cywilnej ma na celu zachowanie jak największej części produkcji dla potrzeb wojny. Notujemy największe napięcie sił w Niemczech i stosunkowo słabe w St. Zjednoczonych.

Totalny charakter obecnej wojny nie pozwalał ustalić dokładnie, jak duża część produkcji idzie na cele wojenne, a jaka przypada na konsumcję ludności cywilnej. Było by to niemożliwe i w tym wypadku, gdyby dane o produkcji i konsumcji były publikowane, czego w rzeczywistości nie ma.

Pewne zorientowanie się w tej sprawie ułatwiają poniższe liczby.

Rozmieszczenie zatrudnionej siły roboczej w St. Zjedn. (miln. ludzi) [12]).

	1941	1942	1943[13])
	(w końcu r.)		
Zatrudn. w wojennych gałęziach przemysłu (bez rolnictwa)	7,3	17,5	20,0
Zatrudn. w przemyśle prywatnym	29,4	20,8	19,0
Zatrudn. w roln.	8,9	8,5	7,5
Razem	45,6	46,8	46,5

Wobec tego, że siły robocze zatrudnione w rolnictwie (tj. fermerzy) produkują także w znacznej mierze dla potrzeb wojny, zaopatrując armię i robotników przemysłu wojennego w żywność, to jasnym się staje, że w momencie punktu kulminacyjnego produkcji wojennej około połowy siły roboczej St. Zjedn. pracowało dla celów wojny, a więc innymi słowami połowa produkcji była wykorzystana dla potrzeb wojny.

Odnośnie Anglii mamy następujące dane oficjalne, które bezpośrednio określają wysokość wydatków wojennych:

Rok budżetowy	Dochód społ	Wydatki państwa	W tej sumie na obronę	W % do społeczn dochodu
1938/39	4490	1055	400	9
1941/42	6619	4776	4085	62
1942/43	7384	5637	4840	66

Każde oszacowanie dochodu społecznego jest, jak wiadomo, bardzo niedokładne. Wzrost dochodu społecznego Anglii podczas wojny wynika przede wszystkim z podwyższenia cen, a w znacznie mniejszym stopniu ze wzrostu produkcji. Wobec tego jednak, że wydatki państwowe są dokonywane w ramach tych podwyższonych cen, wzrost cen nie wpływa na stosunek między wydatkami wojennymi i dochodem społecznym. Stąd wniosek, że wydatki wojenne stanowią w przybliżeniu 2/3 nominalnej sumy dochodu społecznego.[14]).

W Niemczech jeszcze przed wojną znaczna część wyprodukowanej nowej wartości była zużytkowana dla celów wojennych. W 1938 r. część ta stanowi 42 proc., w 1939 r. — 46 proc. Podczas wojny odsetek ten ciągle rośnie i w 1943 r. sięga co najmniej dwóch trzecich całej wyprodukowanej nowej wartości, a może i więcej. To samo zjawisko zachodzi w okupowanych przez Niemcy krajach i u ich sprzymierzeńców. Nawet kraje *neutralne* Europy przeznaczają bardzo dużą część swego dochodu społecznego na uzbrojenie: rezerwy mobilizacyjne.

h) *Państwo zahamowało wzrastające tendencje do podwyższania cen towarów.* Tendencje te wynikają z nadwyżki popytu na towary nad ich podażą. Udało się to co najmniej w stosunku do towarów, mniejszy ich wzrost, niż to ma miejsce w rzeczywistości — rozbieżność podkreślana niejednokrotnie przez przedstawicieli związków zawodowych.

„W okresie między 1939 i 1943 r. zarówno w St. Zjedn., jak i w Anglii wzrost kosztów utrzymania był mniejszy, niż w okresie między 1914 — 1918 r. Wykazuje to poniższa tabela:

Wzrost kosztów utrzymania w St. Zjedn. i w Anglii w okresie pierwszej i drugiej wojny światowej (w proc.)[16]).

	Lata	Ogólny indeks	Żywność	Odzież	Opał i inne
St. Zj.	1914-1918	63	78	111	45
	1939-1943	26	47	33	10
Anglia	1914-1918	103	115	211	74
	1939-1943	28	22	64	30

Tłumaczy się to po części znacznie zwiększonymi rozmiarami niewykorzystanej mocy produkcyjnej i niezużytymi zasobami na początku drugiej wojny światowej, ale przede wszystkim — zwiększoną kontrolą".[17]).

W Anglii utrzymaniu stosunkowo stałych cen artykułów żywnościowych sprzyjają duże dotacje państwowe. Państwo wypłacało rocznie do 300 miln. f. szt. dotacji na obniżenie cen zapasów żywnościowych.

W Niemczech, natychmiast po wybuchu wojny, zostały ustanowione sztywne ceny zgodnie z ówczesnym poziomem. Ceny oficjalne od tej pory nie wiele zwyżkowały.

Oficjalne indeksy cen w Niemczech.
(I-sze półrocze 1939 r. = 100).

	1940	1941	1942	1943	1944
Ceny hurt.	103	105	108	109	110

(Rok 1944 I-sze sześć miesięcy).

Natomiast ceny wszystkich towarów nie objętych regulacją państwową, jak i ceny na „czarnym rynku" niezmiernie wzrosły.

W Anglii metoda walki ze wzrostem cen była zasadniczo różna od tej, jaką stosowano w Niemczech. W Anglii państwo, chcąc zachęcić producentów do rozszerzania produkcji rolniczej, płaci za towary, objęte kontyngentem, korzystne dla właścicieli ceny. Równocześnie utrzymuje ono ceny detaliczne artykułów żywnościowych na stosunkowo niskim poziomie.

W Niemczech, naodwrót, wszystkie artykuły rolnicze, muszą być całkowicie oddane państwu i to po sztywnych niskich cenach. Wywołuje to tendencję do kurczenia się produkcji i do sprzedaży produktów na „czarnym rynku".

i) *Jeśli chodzi o wielkie mocarstwa, biorące udział w wojnie, działalność gospodarcza państwa nie ogranicza się do ich własnego terytorium.* Mocarstwa te dążą do wykorzystania możliwie dużej ilości zasobów innych krajów dla swojej gospodarki wojennej, a w każdym razie nie pozwalają na to, by nieprzyjaciel korzystał z tych zasobów.

Stany Zjednoczone wciągnęły do swej gospodarki wojennej zasoby krajów Południowej i Środkowej Ameryki. Dostarczyły kapitału na budowę metalurgicznej fabryki i na rozszerzenie produkcji kauczuku w Brazylii, na powiększenie wydobycia miedzi w różnych krajach. Skupywały przez południowo-amerykańskie kraje miedź, płacąc wyższe od ustalonych na rynku wewnętrznym tych krajów ceny i t.d.

Państwo angielskie regulowało gospodarkę swoich posiadłości a przejściowo także francuskich, belgijskich i portugalskich kolonii. Angielski rząd skupywał po sztywnych cenach całą australijską, nowozelandzką i południowo - afrykańską wełnę, całą produkcję bawełny w Egipcie, cały zbiór kakao w angielskich i francuskich koloniach Zachodniej Afryki. W poszczególnych dziedzinach St. Zjedn. i Anglia koordynowały swoją działalność gospodarczą.[18]). A więc założono wspólne biuro aprowizacyjne „Combined Food Board", skupujące wszystkie zaofiarowane gdziekolwiek do sprzedaży tłuszcze i masło; przy tym w pewnych miejscach wyłącznym nabywcą jest Anglia, a w innych St. Zjedn. Anglia zakupiła dla wyżej wymienionego biura całą produkcję herbaty w Indiach i na Cejlonie i t.d.[19]).

Kiedy Niemcy przekonywują się, że w warunkach długotrwałej wojny zwykła grabież obcych ziem, tuż po ich podbiciu, nie jest celowa, postanawiają wykorzystać zasoby krajów okupowanych dla swojej gospodarki wojennej. Chłopów zmuszają do uprawiania tych kultur rolnych, których Niemcy najbardziej potrzebują (nasiona oliwne, konopie, len). Paliwo, surowce i środki transportowe otrzymują te fabryki, które pracują dla armii niemieckiej i t.d.

W ten sam sposób usiłowała wykorzystać zasoby podbitych krajów Japonia, ale bez specjalnego powodzenia.

Istnieje oczywiście zasadnicza różnica między metodami stosowanymi przez państwa demokratyczne w celu wykorzystania zasobów obcych krajów dla wzmocnienia własnego potencjału wojennego i metodami krajów faszystowskich.

Anglia i St. Zjedn. postępowały w ten sposób, by w żadnej mierze nie naruszać praw właścicieli do ich własności w danych państwach. Więcej (o ile tylko warunki na to pozwalały) akcja Anglii i St. Zjedn. była przeważnie korzystna dla tych państw. Przy zakupie kakao Anglia poniosła duże straty, gdyż z powodu braku tonażu nie mogła wywieźć zakupionego towaru. Prawdopodobnie poniesie także duże straty na nagromadzonych zapasach wełny. St. Zjedn. płaciły w Południowej Ameryce za miedź o wiele wyższe ceny, niż we własnym kraju i t.d.

W Niemczech dzieje się odwrotnie; włączenie krajów okupowanych i lennych do gospodarstwa wojennego Niemiec idzie w parze z ich *obrabowaniem.* W okupowanych krajach Zachodniej Europy Niemcy uznawały formalnie prawo właścicieli do ich własności; faktycznie jednak kapitalistów, którzy nie zgadzali się na dobrowolną współpracę ze zdobywcami, zmusili do tego, by ustąpili większość akcji po śmiesznie niskich cenach niemieckim monopolom. W tym celu Niemcy pozbawiali przedsiębiorców surowców, środków transportowych i siły roboczej. Na Wschodzie — w Polsce, na tymczasowo okupowanych terenach sowieckich, w Jugosławii — Niemcy nie uznawali nawet formalnie praw właścicieli do ich własności prywatnej. Zabierali po prostu ziemię, nieruchomości, przedsiębiorstwa przemysłowe i t.d., rabowali zapasy towarów i mieszkania prywatne.

*

Rola państwa w gospodarce wzrosła silnie nie tylko w krajach wojujących, ale i w nielicznych neutralnych. Spowodowane wojną rozbicie gospodarki światowej uniemożliwiło krajom neutralnym dostęp do zwykłych ich rynków zakupów i zbytu, względnie zmniejszyło do minimum ich wewnętrzny obrót handlowy (Szwajcaria, Szwecja). Dlatego również i w tych krajach państwo zmuszone było ustanowić reglamentację artykułów żywnościowych, ująć w swoje ręce produkcję i podział niektórych surowców i wprowadzić ostrą kontrolę wywozu z uwagi na to, że w warunkach wojennych stał się on czynnikiem o znaczeniu politycznym.

To, co zostało wyżej powiedziane nie wyczerpuje zagadnienia roli państwa w gospodarce. Nie ma takiej dziedziny gospodarczej, któraby nie była regulowana (w mniejszym lub większym stopniu) w czasie wojny przez państwo.

*

Ten gwałtowny wzrost działalności gospodarczej państwa wymaga *odpowiedniego rozbudowania aparatu państwowego,* stworzenia nowych państwowych organów. Za dużo miejsca zajęło by dokładne omówienie tych nowych organizacji gospodarczych państwa w poszczególnych krajach, tymbardziej, że podczas wojny dokonano wszędzie licznych organizacyjnych zmian. Zwróćmy uwagę tylko na najważniejsze momenty.

Organizacje, za których pośrednictwem państwa kapitalistyczne przeprowadzają swoje plany gospodarcze, składają się — szczególnie jeśli chodzi o kierownicze stanowiska — nie z zawodowych urzędników, ale przedsiębiorców, zaangażowanych w charakterze specjalistów; są oni ściągani z innych, objętych regulacją państwową, dziedzin gospodarczych i stoją na straży interesów odpowiedniej dziedziny. Często pobierają tylko „symboliczną" pensję (w St. Zjedn.—jeden dolar rocznie). Prócz nich przyciąga się do pracy w organizacjach wojenno - gospodarczych wyższych oficerów wojskowych w charakterze przedstawicieli sił zbrojnych, a w krajach demokratycznych — także przedstawicieli związków zawodowych i konsumentów. Ważniejsze stanowiska zajmują jednak w większości wypadków przedsiębiorcy.

Podobna sytuacja panuje i w *Anglii.* Jako przykład niech tu służą nominacje ministra aprowizacji na początku wojny.

John Rogers, który dostał nominację dyrektora oddziału materiałów wybuchowych jest dyrektorem koncernu „Państwowego przemysłu chemicznego", towa-

---

9) „Neue Zürcher Zeitung", 31 VIII. 1943.
10) „Federal Reserve Bulletin", April 194 p. 479.
11) „Economist", 25.IX. 1943.

12) Dane oficjalne.
13) Dane tymczasowe.
14) Nie znaczy to jednak, że państwo wydaje 2/3 dochodu społecznego na potrzeby wojny, albowiem część wydatków jest pokrywana za pomocą wykorzystania kapitału w kraju i za granicą, wpływów z dominiów i t.d.

15) We wszystkich krajach istnieje „czarny rynek"; towary krążące na tym rynku pozostają poza ramami regulacji państwowej i są wymieniane lub sprzedawane po o wiele wyższych cenach od oficjalnych.
16) „Monthly Labor Review", February 1944
17) „Oxford Bulletin of Statistics", 6.V.. 20.V. 1944, Nr. 7, p. 116.
18) Na początku wojny istniała także zjednoczona angielsko - francuska organizacja zakupów „Anglo - French Purchasing Board" która skupywała za granicą towary dla obydwu krajów.
19) „Economist", 26.IX. 1942.

rzystwa akcyjnego „Afrykańskiego przemysłu materiałów wybuchowych" i towarzystwa akcyjnego „Fabryka materiałów wybuchowych" w Cape Town.

Na dyrektora oddziału warsztatów mechanicznych został mianowany Artur *Rews*, który jest dyrektorem słynnego koncernu produkcji broni palnej — „Wibly and Scott", a równocześnie dyrektorem dwóch towarzystw przemysłu metalowego. Ob. Gewin Smelly *Macley*, radca honorowy przy dyrektorze oddziału produkcji broni jest dyrektorem ośmiu towarzystw akcyjnych, głównie przemysłu stalowego.

Zastępcą dyrektora Zarządu fabryk artyleryjskich został *Perssy* Herbert *Mills*, który zajmuje osiem posad dyrektorskich, przeważnie w organizacjach budowlanych.[20]).

W Niemczech organizacje wojskowo - gospodarcze osiągnęły pełny rozwój pod kierownictwem Goeringa, jeszcze przed wybuchem wojny: udało się to przeprowadzić pod maską „planu czteroletniego". W odróżnieniu od St. Zjedn. i Anglii, tu w podobnych organizacjach nie ma przedstawicieli robotników czy konsumentów, podkreślić natomiast należy duży wpływ przedstawicieli sztabu generalnego. Wyjątek stanowi rolnictwo, które pozostaje w rękach „państwowego stanu aprowizacyjnego", t.j. wielkich właścicieli ziemskich i kapitalistów przemysłu spożywczego. W niektórych prowincjach niemieckich byli również pełnomocnicy sztabu generalnego do spraw ekonomicznych. W czasie wojny przeprowadzono i tu radykalną reorganizację. Po Stalingradzie „kontrola" nad przemysłem przechodzi bezpośrednio w ręce przedsiębiorstw organizacji odpowiednich dziedzin przemysłu.

Przewodniczący organu wyższego, reprezentującego interesy przemysłowców, Sangen, staje się faktycznym kierownikiem gospodarki wojennej w dziedzinie przemysłu.

W odróżnieniu od aparatu państwowego w czasie pokoju, który posiadał mocną, ustanowioną z dawna strukturę z dokładnie określonymi funkcjami każdego działu, różne organizacje wojenno - gospodarcze państwa prowadziły w okresie wojny często walkę między sobą, przy czym każda ze stron wojujących broniła interesów specjalnych tej lub innej gałęzi gospodarki. Wewnątrz poszczególnych organizacji toczyła się nie rzadko walka między dużymi monopolami i prócz tego walka między monopolami z jednej strony i niemonopolistycznymi kołami gospodarczymi — z drugiej. Walka interesów, rozgrywająca się przed tym jawnie, teraz, podczas wojny, toczy się w znacznej mierze dalej wewnątrz tych organizacji, bez jakiegokolwiek udziału społeczeństwa.

W odróżnieniu od „normalnego" aparatu państwowego, obliczonego na stałe istnienie, organizacje wojenno - gospodarcze w założeniu zostały stworzone tylko na ograniczony okres czasu — na okres wojny; po wojnie większa ich część zostanie zlikwidowana.

Przekład EWY KANTORCZAK.

NOTATKA BIOGRAFICZNA

Warga Eugeniusz (ur. 1879) jest węgierskim ekonomistą i rewolucjonistą. Od 1906 r. członek węgierskiej socjal - demokratycznej partii, był redaktorem ekonomicznego działu: „Nepszawy" (organu węgierskiej S.D.) oraz „Neue Zeit". W 1918 roku uzyskał katedrę ekonomii politycznej na budapesztańskim uniwersytecie. Stojąc na skrajnej lewicy SD., brał aktywny udział w węgierskiej rewolucji, piastując stanowisko Komisarza Ludowego Finansów w rządzie rewolucyjnym. W tym okresie Warga zbliża się do partii komunistycznej i pozostaje już w jej szeregach. Po upadku węgierskiej rewolucji ucieka do Austrii, gdzie napisał cenną pracę p.t. „Problemy ekonomicznej polityki przy dyktaturze proletariackiej", w której podsumował wyniki gospodarcze doświadczenia rewolucji węgierskiej. Przenosi się następnie do ZSRR, gdzie rozwija ożywioną działalność naukową. Niezwykle cenne były kwartalne sprawozdania ekonomiczne Wargi publikowane od 1922 r. w szwajcarskiej „Internationale Presse Korrespondenz". Warga posiada szereg poważnych prac naukowych, poświęconych analizie zagadnień gospodarczych okresu wojennego (Geld und Kapital in der Kriegswirtschaft, 1923 r.), „Szkice o kwestii rolnej", „Lud agrarny w krajach kapitalistycznych" (1925 r.), „Deux systemes", „Capitalisme et socialisme", Paris 1938, oraz szereg prac zajmujących się problemem kryzysu gospodarki kapitalistycznej. Obecnie Warga jest członkiem Akademii Nauk ZSRR i redaktorem naczelnym miesięcznika „Światowa gospodarka i polityka" oraz rocznika statystycznego z dziedziny gospodarki światowej. Akad. Warga jest dyrektorem Instytutu Światowej Gospodarki i Polityki Akademii Nauk ZSRR, rozwijającego niezwykle ożywioną działalność naukową. (A.S.).

20) „Daily Worker", 20.X. 1939.

BORYS PASTERNAK

Poezje

Przełożył MIECZYSŁAW JASTRUN

Pamięci demona

Nocą wracał za mgłą,
Szedł w lodowca brzasku — od Tamary.
Dwojgiem skrzydeł gdzie grom
I gdzie koniec naznaczał koszmaru.

Nie łkał, nie splótł ni raz
Ramion nagich, zszarpanych szramami
Gdzie nagrobny trwa głaz
Za gruzińskiej świątyni wrotami.

Nie wykrzywiał się tu
Cień, zły garbus, za kratą cmentarna
I pod lampą szept strun
O księżniczkę nie pytał umarłą.

Ale włosy blask rwał
I jak łosior trzeszczały w zawieję.
I nie słyszał wśród skał
Za rozpaczą jak Kaukaz siwieje.

I od okna o krok
Strzępiąc burnus na lód się zaklina
Szczytów gór — w śnieg i mrok:
Śpij, kochana, powrócę lawiną.

***

Mknęły gwiazdy. Morze myło wyspy.
Krzepła sól i wysychały łzy.
Były ciemne sypialnie. Mknęły myśli.
I w Saharę wsłuchiwał się sfinks.

Topniał wosk. I, zdawało się, stygnie
Krew kolosa. Na wargi nieżywe
Spływał uśmiech błękitny pustyni.
I mrok nocy odpłynął z odpływem.

Morze musnął ciepły wiatr z Marokko.
Samum szedł. Chrapał w śniegach
Archangielsk.
W świecach topniał wosk. Brulion
„Proroka"
Schnął, i z mroku rozbrzaskiwał Ganges.

Borys Pasernak — mal. A. Jar. Krawczenko

W porannych pociągach

Pod Moskwą zimy tej mieszkałam,
Ale w mróz, zamieć i kurzawę
Nieraz do miasta wyjeżdżałem,
Jeżeli miałem pilną sprawę.

Gdy wychodziłem, pora wczesna,
Że oko wykol mrok głęboki;
Rozsypywała ciemność leśna
Skrzypiące w śniegu moje kroki.

Wierzb zaroślami na przejeździe
Mroźne witało mnie pustkowie,
Błyszczały konstelacje gwiezdne
W otchłani stycznia nadświatowej.

Zazwyczaj obok przybudówek
Chciał mnie prześcignąć wagonami
Pocztowy lub czterdziesty numer,
Szedłem na szóstą z minutami.

Wnet chytre zmarszczki światła wszędzie
Macały z tej to z tamtej strony,
I już reflektor w pełnym pędzie
Wjeżdżał na wiadukt ogłuszony.

W dusznym toczącym się wagonie
Teraz się cały oddawałem
Wzlotom słabości przyrodzonej
I którą z mlekiem już wessałem.

Milcząc — wśród przemian, co narosły
Pośród lat wojen i zniszczenia —
Odnajdywałem rysy Rosji,
Jej rysy nie do powtórzenia.

Walcząc z zachwytem bezgranicznym
Patrzyłem z uwielbieniem w twarzy
Na ludzi z osad okolicznych,
Baby, studentów i ślusarzy.

Nie było śladów poddańczości
I nędzy w ruchach ich i mowie
I niewygody i nowości
Nosili lekko jak panowie.

Tutaj rozsiadłszy się bez troski,
Jakby na wozie zgrupowane,
Czytały dzieci i podrostki
Namiętnie, jak zaczarowane.

Moskwa witała nas w półmroku,
Który przechodził zwolna w srebro.
Wychodząc z świateł dwóch otoku
Wydostawaliśmy się z metro,

I parł ku wyjściu tłum młodzieży,
Pachniało za odchodzącymi
I mydłem czeremchowym świeżym
I piernikami miodowymi.

BORYS PASTERNAK

Uwagi tłumacza. Verlaine

...Doszliśmy do przekonania, że przekład wiersza nie może mieć sensu, jeśli tylko jego związek z oryginałem nie jest znacznie ściślejszy, niż to jest zazwyczaj przyjęte. Zgodność treściowa jest więzią zbyt słabą, by tłumaczenie usprawiedliwić. Tłumaczenia dosłowne zawodzą z reguły nasze nadzieje. Małokrwiste powtarzanie „własnymi słowami" nie mówi nic o najważniejszej z cech przedmiotu, który czytelnikowi mamy uzmysłowić i pokazać — o jego sile. By tłumaczenie nie mijało się z celem, musi istnieć między nim a oryginałem zależność znacznie ściślejsza. Musi to być zależność podobna do tej, która istnieje między zasadą a jej pochodną, między bryłą a jej rzutem geometrycznym. Tłumaczenie winno być dokonane przez poetę, który doświadczył na sobie przemożnego wpływu siły oryginału na długo przed tym, nim wziął się do przekładu. Przekład musi być płodem oryginału, jego historycznym rezultatem.

Tłumaczenie jest więc w pewnym sensie niewykonalne, choćby z tej przyczyny, że największym urokiem dzieła sztuki jest jego niepowtarzalność. W jaki zaś sposób może ją tłumaczenie odtworzyć, a więc powtórzyć?

A jednak przekład jest osiągalny, ponieważ w ideale winien być i on dziełem sztuki i — przy tej samej treści — starać się dorównać oryginałowi własną swą niepowtarzalnością.

Że tłumaczenia są możebne, mamy na to przykłady w historii wielu literatur. *Tłumaczenie nie jest pokazem czy też odbiciem zwierciadłowym utworu pojedyńczego, oddzielnego. Jest ono po prostu formą wzajemnego obcowania literatur i kultur na przestrzeni wieków.* Oto przykład:

Możliwości metryczne wiersza angielskiego są niewyczerpane. Zwięzłość, lakoniczność leksyczna, syntaktyczna tego języka jest rękojmią treściwości słów i zdań, a treściwość — muzykalności: tak zwana „muzyka słowa" nie jest bynajmniej równoznaczna z jego dźwięcznością, jest raczej iloczynem *dźwięku i znaczenia*, jest ich *funkcją obopólną*

Niedawno zwrócono się do nas z prośbą o przetłumaczenie wierszy Shelley'a dla antologii poezji angielskiej. Wzięliśmy się do tego raczej z ociąganiem, a nawet z niechęcią, nie spodziewając się żadnej radości z tej pracy. Shelley wydawał się nam zawsze poetą dalekim i abstrakcyjnym. Tymczasem praca ta zmusiła nas do uważniejszego przyjrzenia się poecie. I tu natrafiliśmy na nieoczekiwaną koncepcję. W tym zaklinaczu żywiołów i piewcy rewolucji, wolnomyślicielu i autorze traktatów ateistycznych, dostrzegliśmy nagle zwiastuna i prekursora mistycyzmu urbanistycznego, który był religią rosyjskiego i europejskiego symbolizmu. Ledwie tylko posłyszeliśmy w odach do wiatru czy chmur Shelley'a dźwięki głosu Błoka, Verhaerena i Rilkego — a już cała twórczość angielskiego poety oblekła się dla nas w kształty widome. Rzecz jasna, że w tłumaczeniach staraliśmy się i nadal o zachowanie stylu klasycznego...

***

Przeszło sto lat temu, w 1844 roku, urodził się w mieście Metz, wielki francuski poeta liryczny — Paul Verlaine. Co nam każe przypominać go teraz, co nam każe interesować się nim dzisiaj właśnie, w nasze dni gorące, w blasku naszego gigantycznego zwycięstwa?

Verlaine zostawił nam w spadku wyrazisty opis tego, co widział i przeżył, z ducha i nastroju zbliżony do późniejszych utworów Błoka, Rilkego, Ibsena, Czechowa i innych pisarzy okresu przedostatniego. Prócz tego więzy głębokiego pokrewieństwa łączą poezję Verlaine'a ze sztuką malarską francuskich, rosyjskich i skandynawskich impresjonistów. Artystów tych otaczała nowa rzeczywistość miejska zupełnie niepodobna do realności Puszkina, Merimée i Stendhala. Przekwitał i miał się ku końcowi wiek XIX, ze wszystkimi swymi kaprysami, sobiepaństwem przemysłu, kataklizmami finansowymi i społeczeństwem, składającym się z ofiar i pupilków losu. Ulice dopiero co oświetlono latarniami gazowymi i wyasfaltowano. Wyrastały przy nich jak grzyby po deszczu fabryki, wiatr gonił po jezdniach strzępy coraz to liczniejszych dzienników. Bezgranicznie rozrosły się macki kolei żelaznej, która weszła nieodłącznie w świat przeżyć każdego dziecka, bez względu na to, czy to dzieciństwo samo przelatywało w pociągu mimo nocnego miasta, czy też to nocne pociągi przeciągały za oknami ubogiego, przedmiejskiego dzieciństwa.

Na tej, po nowemu oświetlonej ulicy, inaczej niż za czasów Balzaka łamały się cienie, chodziło się po niej — po nowemu i malować chciało się ją — po nowemu zgodnie z nowym jej charakterem. Jednakowoż to nie latarnie i nie druty telegraficzne były najważniejszymi cechami nowej ulicy — lecz wicher żywiołu egoistycznego, dmący widomie niczem wiatr jesienny; w podmuchach jego wirowały, jak liście na bulwarach — nędza, suchoty, prostytucja i inne wspaniałości tych czasów. Ten wicher rzucał się w oczy każdemu, był siłą odśrodkową krajobrazu. Podmuch jego w szczególny sposób ukształtował kąt widzenia młodych malarzy. Ich malarstwo — to sztuka plam i centek, aluzji i półtonów. Nie był to karpys ani „symbolizm". Symbolizmem przesiąknięta była sama rzeczywistość, pełna półtonów i fermentów, która raczej coś symptomatyzowała niż oznaczała, będąc systemem objawów, niezadawalając, nie dając wrażenia pełni. Wszystko w niej utraciło miejsce stałe. Był to jakiś wir wartości względnych, za którymi przeczuć można było podstawową doniosłość wieku — socjalizm i jego ucieleśnienie — rewolucję rosyjską.

Podobnie jak realista Błok, był autorem najtrafniejszego, jedynego w swoim rodzaju obrazu Petersburga, pełnego tego właśnie znamiennego chybotliwego migotania, tak też i Verlaine — realista podkreślił w swojej spowiedzi lirycznej pierwszoplanową rolę historii i środowiska, które było areną jego upadku oraz pokuty.

Verlaine był synem wcześnie zmarłego pułkownika, ulubieńcem matki i żeńskiej służby. Dzieckiem jeszcze posłano go z prowincji do jednego z internatów paryskich. Po ukończeniu szkoły został urzędnikiem municypalnym. W pamiętnym roku 1870 broni Paryża jako ochotnik. W międzyczasie zdążył się ożenić. Zaczyna się powstanie i Verlaine bierze udział w pracy Komitetu Prasowego Komuny Paryskiej, co zaważyło w następstwie na jego losach. Po klęsce Komuny traci pracę i tu przeznaczenie posyła mu złego geniusza w postaci Artura Rimbaud. Verlaine sam na swoją zgubę odkrywa tego „początkującego" gdzieś w Charleville i sprowadza do Paryża. Od chwili, gdy Rimbaud zamieszkał u Verlainów, skończyło się ich pożycie rodzinne. Dalsze etapy losów Verlaina znaczą łzy jego żony i dziecka. Zaczynają się dzieje wspólnej tułaczki Rimbauda i Verlaine'a po wszystkich drogach Francji i Belgii, dzieje głodowych miesięcy w Londynie, przygodnych zarobków, bójki w Stuttgarcie, domów noclegowych i szpitali, a w końcu — więzienia w Monce. W celi więziennej Verlaine napisał jedną ze swych najlepszych książek. Umarł zimą 1896 roku, 50 lat temu, nic niezwykłego nie dodając do swej dawno już ugruntowanej sławy, znalazłszy w ciągu lat ostatnich pełen szacunku posłuch w kołach młodzieży poetyckiej, otoczony licznymi epigonami.

Verlaine zaczął pisać wcześnie. „Wiersze saturninskie" z jego pierwszej książki napisane były jeszcze w szkole. Jego zwodnicza poetyka, podobnie jak i tytuły niektórych jego książek (n. p. „Pieśń bez słów") — oto źródło wielu mylnych sądów o Verlainie. Zdawałoby się, że lekceważenie dla stylistyki, którą on głosił, jest rezultatem dążenia do sławetnej „muzykalności" (mało kto zna

sens tego słowa!). Zdawałoby się, że Verlaine poświęca znaczeniową i graficzną stronę poezji dla jej wartości wokalnych. Otóż to nieprawda. Raczej przeciwnie. Jak każdy wielki artysta, Verlaine żądał nawet od poezji — a więc sztuki słowa — „nie słów, lecz czynu", to jest pragnął, by w poezji zawarta była rzeczywistość wzruszeń i przeżyć, lub naoczne świadectwo prawdy. Oto co mówi sam Verlaine na ten temat w znakomitym swoim wierszu „Sztuka poetycka", który niesłusznie uważany był i jest za manifest pozarozumowości i „śpiewności".

„...Nie zawahaj się, sam pełen żaru,
Rym nauczyć mądrego umiaru..."

I dalej

„...Niech w twej duszy wiersz, lotem skrzydlaty,
Ulatuje w nieznanych dusz światy,
I w miłości innych nieba najdalsze,
Niech go na pięknej przygody pióra
Weźmie puszysty powiew poranku,
Niosący wonie mięty i tymianku,
A wszystko inne — to literatura".

Verlaine miał prawo tak pisać. W wierszach swoich kazał on dzwonić dzwonom, potrafił w nich uwięzić zapachy traw i roślin ojczystych, naśladował wybornie głosy ptaszęce; to on przemyślał i powtórzył słowo w słowo wszystkie modulacje ciszy — zarówno wewnętrznej jak zewnętrznej — od zimowego gwiezdnego milczenia do letniej drętwoty gorącego, słonecznego południa. Verlaine — i nikt inny potrafił dać wyraz drugiemu, gryzącemu i nieustępliwemu bólowi utraty — bez różnicy — czy Boga, którego nie sposób odnaleźć, czy kobiety, której myśli nie można przeinaczyć, czy miejsca, droższego nad życie, które trzeba porzucić, czy nakoniec utraty spokoju.

W naszym pojęciu nie docenialiśmy swojego czasu orlej trzeźwości Błoka, jego taktu historycznego, jego wyczucia tego, czego ludziom i ziemi trzeba, wyczucia, które cechuje geniusza. O nie, Verlaine świetnie zdawał sobie sprawę z tego, co mu jest niezbędne i czego brak poezji francuskiej, by odzwierciedlić ów powiew nowego wichru w duszach i miastach, o którym pisaliśmy wyżej. I doprowadziwszy swe myśli do zupełnej przejrzystości, wyjaśniwszy sobie wszystko ostatecznie, Verlaine dawał swemu językowi bezgraniczną wolność, będącą właśnie najważniejszym jego odkryciem w liryce, wolność, spotykaną tylko u mistrzów dialogu, w powieści i dramacie prozaicznym. Zwrot paryski — literacko - dziewiczy i czarująco celny — wlatywał wprost z ulicy i całkowicie mieścił się w wierszu, bez żadnego przykrawania, służąc rusztowaniem melodycznym dla całej konstrukcji. Ta rosnąca niewymuszoność — oto główny powab poezji Verlaine'a.

Zwroty mowy codziennej były dla niego niepodzielne. Verlaine pisał całymi zdaniami, a nie słowami, nie łamał ich i nie przestawiał. W porównaniu z prostotą Musseta i poprzedników, Verlaine idzie bez porównania dalej i wyżej. Verlaine nie dlatego stara się o prostotę, aby mu czytelnicy uwierzyli, lecz dlatego, aby nie przeszkadzać wyrywającemu się na zewnątrz głosowi życia.

Przełożył *Jerzy Pomianowski*

Borys Pasternak — najwybitniejszy współczesny poeta rosyjski, jest jednocześnie znakomitym tłumaczem Verlain'a, Aleksandra Petöfi, Shelley'a, Keatsa, Hölderlina, Kleista, poetów gruzińskich. Jego tłumaczenia sonetów i dramatów Szekspira są w ZSRR jednym z ostatnich wydarzeń wydawniczych. Wśród tłumaczeń Pasternaka znajdujemy także kilka przekładów wierszy Słowackiego („Kuligi", „Pieśń legionu litewskiego"). Ostatnio Pasternak tłumaczy współczesnych poetów polskich (Leśmiana i Jastruna) dla antologii, która ma wkrótce ukazać się w Moskwie.

Ip

W poprzednim numerze (6) „Kuźnicy" z dnia 18 lutego 1946 r.:

Jan Kott — Węgiel. **Tadeusz Hołuj** — Wigilia stulecia. **Henryk Eile** — Teatr w dobie Powstania Styczniowego. **Stanisława Zakrzewska** — Wiersz. **Zygmunt Szymański** — Jarosław Dąbrowski w Warszawie. **Mieczysław Jastrun** — W obronie poezji. **Celina Bobińska** — Notatki o Leninie. **Julia Hartwig** — Daleko — Ballada zimowa. **Stanisław Lem** — Placówka. **Marek Żuławski** — O malarstwie angielskim. Rozmaitości — O szacunek dla czytelnika — **Adam Ważyk** — Sprawa Instytutu Propagandy Sztuki — **Ignacy Witz**. Przegląd prasy — **ph.** Kronika francuska — **ph.** Leon Schiller w Łodzi — **Henryk Szletyński. Noty.**

MARIA FIDERER

Gwiazdy i dolary

Londyn, styczeń 1946

Film w Anglii jest zagadnieniem nie tylko artystycznym. Ściślej nawet rzecz biorąc stwierdzić można, że w większości publikacji i artykułów na ten temat, problemy artystyczne zajmują ostatnie miejsce. Oczywiście normalna recenzja z nowego filmu, jaka ukazuje się zwykle w tygodnikach jest także i oceną artystycznych walorów filmu, ale poza wszystkimi argumentami dotyczącymi jego estetycznej wartości wyczuwa się albo wprost czyta się argument najważniejszy: czy film opłacił się, czy suma jaką za niego zapłacono jest proporcjonalna do jego wartości.

Brytyjska produkcja filmowa jest w tej chwili poważnym zagadnieniem gospodarczym i przeciętny człowiek, który swój weekend spędza niezmiennie na oglądaniu „pictures" nawet nie domyśla się często w jak skomplikowanych problemach bierze udział za drobną opłatą 4 szylingów 6 pensów. Kino jest w Anglii ogromnie popularną instytucją rozrywkową i tu dopiero uzasadnia się przy pomocy faktów twierdzenie, że film jest sztuką par excellence demokratyczną. Wtedy raz jeszcze nasuwają się wszystkie zastrzeżenia, wątpliwości i zagadnienia związane z demokratyzacją kultury, z upowszechnianiem dóbr kulturalnych i wpływem tych procesów na poziom zjawisk kulturalnych i film w Anglji staje się także problemem kulturalnym i społecznym.

Bliższe zapoznanie się z problematyką filmu i kina jest pożytecznym wstępem do rozważań o angielskim teatrze, który na pewnych płaszczyznach wykazuje cechy zupełnie analogiczne, a dobrym teatrem z prawdziwego zdarzenia staje się dopiero tam, gdzie zaczyna różnić się od filmu. Obie instytucje objęte są jedną nazwą „entertainments" — rozrywki, obciążone tym samym podatkiem od widowisk, złączone unią personalną poprzez aktorów, którzy grają i w kinie i w teatrze (co im raczej przeszkadza w utrzymaniu poziomu artystycznego) i należą do tego samego związku British Actors'Equity Association (The Stage Guild). Już powierzchownie rzecz biorąc te związki kina z teatrem rzucają pewne światło na rolę i charakter brytyjskiej sztuki dramatycznej.

Kino jest popularne po prostu dlatego, że w bardzo monotonnym i stereotypowym życiu przeciętnego, pracującego Anglika jest równie stereotypową rozrywką i wypoczynkiem, którego domaga się człowiek, żyjący w wielkim skupisku ludzkim, zbyt przeciętnie sytuowany na to, aby móc sobie pozwolić na bardziej urozmajcony tryb życia. Obserwuje się tu zjawisko, które tak wyraźnie występuje i w Moskwie. W godzinach i dniach wolnych od pracy absolutnie wszystkie instytucje rozrywkowe są przepełnione. Kina, teatry, sale koncertowe, wystawy obrazów. Rozważania nad tym dlaczego jedni wybierają teatr inni kino, poza niewystarczającymi i cząstkowymi argumentami z dziedziny gospodarczej (cena biletów) musiałyby nas zaprowadzić zbyt daleko w dziedzinę niewiadomych, gdzie często przypadek można nazwać tendencją psychologiczną i odwrotnie. Faktem jest, że przed kasami biletowymi wszystkich 5-u tysięcy kin angielskich stoją bardzo długie ogony, że cztery miliony dziewięćset tysięcy bardzo wygodnych, wyściełanych miejsc zapełnia szczelnie tłum widzów, że przeciętnie tygodniowo kina obsługują 24 miljony ludzi. Jeżeli przeciętna cena biletu wynosi 10,2 pensa (w kinach londyńskich bilety są znacznie droższe, od 1—10 szylingów) to już wiadomo, że jest to zagadnienie obchodzące żywo, zarówno producenta, jak państwo, jako poborcę podatku, jak wreszcie wszystkich skłonnych do rozmyślań na temat gospodarki narodowej, a takich jest wielu.

TŁO GOSPODARCZE

„Brytyjski przemysł filmowy stoi teraz w obliczu kryzysu, być może najpoważniejszego w swej historii". W Izbie Gmin wielu mówców porusza te sprawy, Anglja pod względem produkcji filmowej nie jest samowystarczalna, to znaczy produkuje znacznie mniej filmów, aniżeli wymaga obsłużenie kin i konsumentów. Braki wypełnia się importem z Hollywood, płacąc za to oczywiście dość wysokie sumy. Sumy te wzrosły jeszcze w czasie wojny, proporcjonalnie do obniżającej się na skutek trudnych warunków produkcji brytyjskiej i za ostatnie 9 miesięcy ubiegłego roku wynosiły 17 milionów dolarów. „W czasie kiedy musiano obniżyć import żywności z USA, nie mówiąc już o książkach i gazetach czy innych dobrach ważnych społecznie, jest to niewątpliwie błędne wydatkowanie resursów dolarowych kraju" (New Stat. a. Nation).

Brytyjski eksport filmów do Ameryki jest stosunkowo bardzo mały. W ankiecie urządzonej przez Film Daily Year Book w Ameryce, większość wypowiedziała się przeciw filmom brytyjskim, ponieważ „nie dotrzymują kroku filmom amerykańskim, są gorsze technicznie". Anglicy twierdzą, że „jedynie w czasie, kiedy należności kompanii amerykańskich zamrożone były w Anglii, filmy brytyjskie cieszyły się względnym powodzeniem w Ameryce ponieważ sprowadzanie ich było jedyną formą upłynnienia kapitału." Za import z Ameryki trzeba więc płacić gotówką.

Jednym ze sposobów obniżenia tych wysokich cyfr eksportowych, byłaby oczywiście reorganizacja produkcji własnej, na którą wszyscy liczą, a która będzie wymagała znowu ingerencji państwa w interes prywatny i wywoła gorzkie oraz ironiczne uwagi liberałów.

Angielską produkcję filmową kontrolują prawie zupełnie trzy wielkie koncerny: Associated British, Gaumont Britjsh i Odeon jakimiś tajnymi węzłami powiązane jeszcze pomiędzy sobą, co ostatecznie daje wszystkie złe, a dobrze znane rezultaty skartelizowanej produkcji. Cała siła tego monopolu polega na tym, że kontroluje on dystrybucję filmów i wyświetlające je kina i na tym skupia on przede wszystkim swą uwagę, znacznie mniej poświęcając produkcji.

Odpada oczywiście wszelkie eksperymentowanie, zwłaszcza w dziedzinie filmu dokumentalnego, który w Anglii stoi bardzo wysoko, ale rozwinął się dzięki temu, że kiedyś, przed laty, zapoczątkowała go i produkowała niedochodowa instytucja państwowa, Empire Marketing Board Film Unit. Taka instytucja mogła sobie pozwolić na eksperymentowanie dla podniesienia poziomu widowiska, na które przedsiębiorca prywatny nie tyle nie może, ile nie musi sobie pozwalać, zwłaszcza kiedy jest prawie monopolistą na rynku i kontroluje całą dystrybucję.

Koncerny oczywiście chcą konkurować z Ameryką, produkują więc bardzo kosztowne luksusowe filmy, które pochłaniają materiał, i zajmują studia, i — dają małe korzyści, w każdym razie jeżeli chodzi o poziom filmu.

Niedawno głośna była sprawa filmu „Cezar i Kleopatra" nakręconego według sztuki Shaw'a, który to film kosztował półtora miliona funtów a jest złym kolorowym filmem, pretensjonalnym i banalnym, pełnym sfinksów i zachodów słońca na pustyni; w rezultacie gubi się w nim i zaciera wśród orientalnych bibelotów wspaniały utwór Shaw'a.

Sam G. B. S. napisał na ten temat cierpki list do Times'a, a prasa huczała przez jakiś czas. Jeden z recenzentów wyliczając w noworocznym numerze swego pisma wszystko co mu się podobało w ubiegłym sezonie filmowym dodał na końcu „ostatnie pięć minut filmu „Cezar i Kleopatra". Miał rację, jest to bowiem jedyny moment, kiedy do głosu wbrew wszystkiemu dochodzi Shaw.

Aby temu zaradzić „New Statesman and Nation" proponuje dwutorową akcję rządu. Po pierwsze, należałoby ograniczyć import filmów amerykańskich przez nałożenie wysokich ceł. Import powinien być kontrolowany przez jakąś instytucję, państwową, która dopuszczałaby tylko filmy stojące na wysokim poziomie. Po drugie, aby zwiększyć produkcję własną, rząd musi poprzeć wszystkie niezależne przedsiębiorstwa filmowe przeciw kartelowi, choćby w ten sposób, aby znacjonalizować pewne studia i wyekwipowane wydzierżawić prywatnym przedsiębiorcom. Anglicy chociaż bardzo nie lubią ingerencji administracji państwowej w życie społeczne, są bardzo rozsądni i uczciwi, i rozumieją że planowanie kulturalne, podniesienie poziomu produkcji kulturalnej, zależy od zorganizowania pewnych instytucji gospodarczych i społecznych, czyli właśnie od rządu Labour Party.

W czasie wojny ingerencja państwa szła nieco dalej, ale — co jest faktem doskonale charakteryzującym Anglików — opierała się jedynie o „gentlemen agreement" pomiędzy przedstawicielem monopolu p. Rank, a Board of Trade, co do wysokości wkładów produkcyjnych. Nie trzeba oczywiście zapewniać, że obie strony układu dotrzymały. Jednakże na dłuższy dystans potrzebne są zmiany bardziej instytucjonalne.

„CENZURA"

Również na okres wojny państwo przejęło cenzurę filmów od British Board of Film Censors, który funkcjonował nie jako władza państwowa, ale zwyczajna kontrola z zakresu danej gałęzi przemysłu. Państwo zresztą przekazało swoje kompetencje BBFC.

Ktoś, kto przed rozpoczęciem filmu zobaczy wielki napis, że dany obraz otrzymał aprobatę cenzury, będzie głęboko rozczarowany do demokracji politycznej w Anglii. Ale niesłusznie. Filmy angielskie cenzurują się głównie z punktu widzenia pewnego obowiązującego konwenansu moralnego, który przetrwał jeszcze z okresu złotego wielu drobnomieszczaństwa, epoki wiktorjańskiej, a skoro już raz został instytucją, niełatwo znaleźć kogoś, ktoby ją zmienił lub obalił. Byłby to nie tyle śmiałek, ile człowiek bardzo nietaktowny.

Filmy wedle praw cenzury dzielą się na trzy kategorie: U (universals) dozwolone wszędzie i dla wszystkich, A (adults) dozwolone dla dorosłych i młodzieży od lat 16-u, i H (horrific) surowo dla młodzieży wzbronione. Niedawno Anglicy mieli wielkie zmartwienie, ponieważ Królowa Matka postanowiła zaszczycić swą obecnością premierę jednego z filmów. Film był cenzurowany, ale biorąc pod uwagę uszy mniej dostojne. Uznano natomiast, że dialog zawiera pewne momenty frywolne i nazbyt swobodne, jeżeli chodzi o Królowę Matkę, która jak wiadomo jest już także i babką, a w ogóle panią w podeszłym wieku. Wybrnęli z kłopotu z właściwą Anglikom czarującą prostotą (przy której nigdy nie wiadomo, czy oni sami z siebie kpią, czy żądają uznania dla swych fanaberii. „Nie można już było niczego usunąć, ale kiedy Królowa Maria przyglądała się odnośnym obrazom, ściszano dialog, tak, że ledwie co było słychać. Nie wymaga się stosowania tej cenzury w dalszym ciągu". (Evening News) Jedynie „New Statesman a. Nation" zamieścił tę notatkę w swojej Camera Obscura (This England I, 12. 1945) bez żadnych komentarzy.

Z tych samych purytańskich pobudek wypływa zakaz wyświetlania filmów i urządzania przedstawień teatralnych w niedzielę. Co do teatrów, zakaz obowiązuje w pełni, ale kina mogą starać się o jego zniesienie u władz lokalnych. Dotychczas zezwolenia takie otrzymały dwa tysiące kin w Anglji, oczywiście nie za darmo. Na kina grające w niedzielę nałożono specjalny podatek, który idzie na cele charytatywne gminy, albo na British Film Institute. Jest to jeszcze jeden przykład doskonałego kompromisu, jaki praktyczni Anglicy umieją zawierać ze swoją własną, krępującą tradycją na zasadzie „panu Bogu świeczka i diabłu ogarek", ale zawsze z pożytkiem dla człowieka.

NIEKTÓRE FILMY

Powyższe dane gospodarcze wpływają bardzo wyraźnie na poziom filmów. Filmy sprowadzane z Ameryki są prawie zawsze bardzo złe. Trudno na ich podstawie powiedzieć coś o filmie amerykańskim w ogóle, prawdopodobnie nowe dobre filmy są zbyt kosztowne aby można je było sprowadzić.

Te, które ogląda się na ekranach angielskich są stereotypowe, banalne, kabaretowe w najgorszym stylu. Typowe filmy obliczone na ubogiego, lub średnio-zamożnego konsumenta, mieszkańca wielomilionowego miasta, ogłuszonego hałasem ulicznym, wplątanego w sieć komunikacji miejskiej, zamkniętego przez osiem godzin dnia w biurze, czy fabryce, łykającego w zaduchu kolejki podziemnej niestrawne slogany dzienników o milionowych nakładach. Człowiek taki w sobotnie popołudnie musi przede wszystkim oderwać się od otaczającej go rzeczywistości, zobaczyć inny świat, choćby przedstawiony w sposób głupi i zakłamany, musi się uśmiać i wzruszyć. Człowiek taki nie znosi problematyki, namysłu, dociekań. Żąda tylko rozrywki, taniej, wygodnej i łatwo dostępnej. Producenci z Hollywood idą tutaj po linii najmniejszego oporu, wyznaczonej przez masowy popyt na rynku. Przy pewnym wysiłku można by te rozrywkowe filmy skomponować w sposób bardziej kulturalny nie robiąc ich przez to nudniejszymi. Wskazuje na to równie masowe oglądanie wszystkich filmów dobrych i bardzo dobrych, bo człowiek wielkiego miasta w wolne popołudnie nie wybiera rozrywki z namysłem i finezją, ale sięga po pierwszą lepszą. Wykorzystywanie tej postawy jest typową nieuczciwością, której nazywanie po imieniu wywołuje zwykle wielkie zdumienie u wszystkich wielbicieli nieskrępowanej prywatnej inicjatywy. Oczywiście nie wypływa stąd wniosek, że nacjonalizacja natychmiast i w sposób cudowny usunie te wszystkie złe strony. W każdym razie państwo jest jedną z niewielu instytucji działających także nie z chęci zysku, a np. w interesie kulturalnym.

W tej masie filmów amerykańskich trafiają się oczywiście rzeczy dobre, a nawet doskonałe. Niedawno na ekranie jednego z kin dzielnicowych pojawił się na krótko film wyprodukowany w 1937 roku „Green Pastures". Film ten był w Polsce wyświetlany tylko na zerokranie, wskutek opozycji kleru przeciw jego rozpowszechnianiu, tylko „Wiadomości Literackie" poświęciły mu długi artykuł Stefanii Zahorskiej.

Jest to historia biblijna, tak, jak ją sobie wyobrażają małe murzyńskie dzieci, którym opowiada ją pastor w szkółce. Pan Bóg jest dobrym i smutnym, siwobrodym pastorem murzyńskim, który cały dzień urzęduje za amerykańskim biurkiem i od czasu do czasu wygląda przez okno na świat. Na znak swej niezaprzeczalnej wyższości pali cygara po 5 centów, co dla murzyna jest szczytem luksusu. Anioły noszą słomkowe kapelusze, a anjelice które przychodzą sprzątać bożą kancelarię nakładają na skrzydła kraciaste pokrowce, żeby ich nie zniszczyć i witają Boga serdecznym a poufałym „Good morning Lord".

Kain jest małomiasteczkowym gangsterem, a Noe w nieprzemakalnym płaszczu kaligrafuje niezdarnie listę zwierząt do arki. Tajemnicze sprawy wielkiej religii, przetłumaczone na język prostaczków, dzieją się w małym murzyńskim miasteczku, a dobro i zło mierzy się miarą na jaką stać umysł ludzki, ukształtowany w pewnych warunkach.

Pamięć lubi analogie i dlatego w związku z tym filmem przypomina się jeden z prymitywów włoskich w National Gallery. Obraz Giovanni di Paolo przedstawia św. Floriana w szatach pontyfikalnych wprawdzie i św. Sebastiana pokłutego strzałami, ale w pozach przedziwnie baletowych. Jest to rezultat działania tej samej naiwnej wyobraźni, wzruszający i śmieszny.

Inny film amerykański, „Phantasja" Disney'a jest może ciekawą, ale zupełnie nieudaną próbą ilustracji, dźwięku przy pomocy ruchu i koloru. Do symfonji Beethovena i baletu Mussorgskiego dorobiony jest film rysunkowy na którym tańczą amorki i fauny. Człowiek wychodzi raczej z przeświadczeniem, że szkoda mu muzyki, której słuchanie utrudniają migające jak w kalejdoskopie kolory.

ajlepszym filmem angielskiej produkcji „Henryk V" Szekspira z bardzo dobrym rem Lawrence Olivierem w roli tytułowej. kspir w przeciwieństwie do Shaw'a nie tra- przeróbce filmowej. Zupełnie inny rodzaj m o wartościach poetyckich raczej niż in- tualnych lepiej znosi transkrypcję mecha- ną i kolorową ilustrację. W zakresie de- cji, kostiumów, w scenach zbiorowych atkje techniczne możliwości filmu zostały rzystane taktownie. Film nie jest przela- ny i krzykliwy nawet w momentach bit- od Agincourt. Wszystkie role są obsadzo- doskonale, tak, że wspaniałe typy szekspi- kie (Nym, Bardol, Pistol) nie gubią się ociągającym oczy tłumie dworzan i żołnie- Partnerką Oliviera jest również bardzo a Renee Asherson, jako Katarzyna, księż- a francuska. Film ten kosztował także o dużo pieniędzy, ale ostatecznie pojedzie do Ameryki.

enariusz filmu „Brief Encounter" (Krót- spotkanie) napisał Noel Coward znany pularny angielski nowelista, dramaturg or scenariuszy. Jest to historia krótkiego ypadkowego spotkania na dworcu kolej- odziemnej, krótkiego uczucia, które mo- zburzyć cały usystematyzowany porzą- tyciowy gdyby nie rozstanie, po którym ta wraca do męża i dzieci, a mężczyzna muje zajęcie w Afryce. Dworce kolejki emnej, ponure i brudne bufety dworcowe, órych co dzień tak samo i niezmiennie się „tea", zakupy, kino dzielnicowe, dom, rozwiązujący krzyżówki, wszystko to pewnej banalności, mogłoby wstrząsnąć iekiem dzięki specjalnej kompozycji. y i przypadkowe, krótkie spotkanie nie y tylko tanim romansem, ale reakcją onotonne szare i nudne życie. Wszystko ogłoby być, gdyby film robili Francuzi, ak zrobili „Ludzi za mgłą" a potem „Na- " Malraux.

my francuskie są ciągle jeszcze najlepsze, te zwyczajne, rozrywkowe, przeznaczo- masowej konsumcji. Uderza w nich za- wyraźne, widoczne i wyczuwalne istnie- kiejś określonej koncepcji inteligentnej inalnej, której podporządkowane są wszy- środki artystyczne i techniczne. Fran- panują nad kinem, służy im ono do wy- ia jakiejś myśli. Nie dają się porwać ła- siągalnym efektom, wydaje się, że wy- ją ze smakiem i znawstwem niesłychanie tylko pewne efekty najpotrzebniejsze bardziej istotne.

ys of Hope" — to właściwie tylko kilka z książki, ale scen wybranych tak, że wa się na nowo sens rewolucji. Film nie bohaterów — gra w nim tłum: partyzanci, ze, chłopi. Grupy spotykają się z gru- żyją na ekranie, jednostki są anonimowe, tragiczne i same przez się nic nie zna- m chłopów schodzący z gór z transpor nnych i zabitych lotników, milczący ny, groźny — robi imponujące wraże- lm reżyserował Malraux. Kosztował na znikomą sumę w porównaniu z „Cezą- Kleopatrą".

im, równie świetnym filmem francuskim ous les Gosses" (Us Kids)", w którym gra chłopców i dziewcząt. Tu także widać nałego reżysera. Dzieci grają, ale ani na nie przestają być dziećmi. Umiejętność ać wyraźnie w porównaniu z filmem kańskim „Our vins have tender grapes", ym dziewczynka — bohaterka jest zma- aną gwiazdą filmową, nienaturalną i nie- yczną. Ale Amerykanie robią swoje fil- wiazdach i dla gwiazd, nie uznają po- espołu, ani twórczej reżyserii.

ero, przyglądając się filmom francus- czyna się rozumieć, że jest jakaś sub- nieuchwytna granica poza którą film ię sztuką.

Maria Fiderer

Związek Zawodowy
ITERATÓW POLSKICH

zaprasza do

lubu Pickwicka

augutta 6, wejście przez hotel, I p.)

TORKI — Występy artystyczne
WARTKI — Zaczepki dyskusyjne
BOTY — Wieczory literackie

DOŚĆ JEST CZYTAĆ „KUŹNICĘ"
A JĄ KUPOWAĆ I PRENUMERO-
ZAPRENUMEROWAĆ „KUŹNICĘ"
A W KAŻDYM URZĘDZIE POCZ-
M. PRENUMERATA KWARTALNA
ZESYŁKĄ POCZTOWĄ WYNOSI

PAWEŁ HERTZ

Wiersze

***

Zapewne czas podaje strzemię
tym, którzy pychy niesyci
żałobną opuszczają ziemię
płaszczem światła okryci.

Ani ich rym daleki nie wyśpiewa,
ani brak rymu,
tak jakby chciały nieme drzewa
opłakiwać upadek Rzymu.

I tylko czas pomiędzy palce ścieka,
jak woda lub złoto w klepsydrze
i wielki obraz świata zamyka powieka,
póki go pycha nie wydrze.

***

Nieład świata, jak nieład włosów,
które wiatr rozrzuca wschodni.
Co nam z wierszy i co nam z patosu,
kiedy świata nie jesteśmy godni?

Mała ziemia światłem odbitym
świeci w nocach i księżyc mały,
łzy potopu — jak stalaktyty
u wezgłowia będą zwisały.

Tyle tylko? Co widzisz jeszcze,
prócz nieładu zastygłych rzeczy?
W głębi nieba wstrzymane deszcze,
ptak żałobny u stropu skrzeczy.

Tyle tylko? Więc po co idę
ziemią deszczów i ziemią ruin,
jeśli gwiazdę i piramidę
czas beze mnie — jak dom — buduje?

***

To życie było zapewne nie moje,
dzieliłem je z marmurem i złotem pospołu,
karmiłem ptaki, chłodziłem napoje
dla warg spalonych diamentem popiołu.

Tak podzielone — przecież mi zostało,
nie wiele może — jak wykopaliska
albo motyla przezroczyste ciało,
gdy pod dotknięciem palców zaraz pryska.

Nie cały przecież umieram. Dwa rymy
zostaną może dla obcego ucha
i jeśli dzisiaj tylko gest widzimy,
to jutro przyjdzie ten, co gestu słucha.

Nic więcej nie chcę. Potośmy pisali,
aby, wśród dnia białego, w huku maszyn
ktoś tom otworzył i przeczytał dalej
niż było dane pisać piórom naszym.

***

Trzydziestoletni prawie przecież wraca
tu, gdzie jest żużel i gdzie nie ma cegły.
Tutaj był dom młodości, muzyka i praca
i tu się nuty jak palce rozbiegły.

Trzydziestoletni prawie. Pierwsze włosy siwe
chowa pod czapką i razem — nadzieję.
W dzieciństwie jeszcze widział ogromną Niniwę,
na Colosseum biegł, szedł przez Pompeję.

Rude mury zrzucały biały tynk jak łuski
dla podróżnika ruin, dla czasu turysty.
W młodości wczesnej wiedział: był to styl etruski,
czytał nieład kamieni jak znajome listy.

Trzydziestoletni wie już, jak trawa wyrasta
pośród betonu, gdzie kret wije leże —
obok dziecko z odłamków ustawia dwa miasta,
a wyżej chmura płynie nad upadłe wieże.

***

Dar słowa dano nam nie po to,
by pisać rzeczy kształt niezmienny,
umarłych czasów ciężkie złoto
i dyszel wozów ich rzemienny;

by od podróży do podróży
zamykać w album pusty lazur
i suszyć smutne płatki róży,
albo rysować orli pazur;

ja wiem — lecz głos mnie tak przeraża
że zamiast śpiewać rzecz człowieka
mój dar zmieniłem w dar rzeźbiarza
i świat dotykam ręką Greka.

I tylko pamiętają palce
marmuru chłód i złota ciężar
i oko z wargą w wiecznej walce
patrzy na lazur i zwycięża.

Ostygłe gwiazdy i kamienie
ludzki dar słowa zniszczą pewnie,
lecz bardziej kształt zastygły cenię
niż głos, który by śpiewał gniewnie.

***

Zatrzymanemu przed Breughla obrazem,
cóż jeszcze powiedzieć mam?
Świat nieprawdziwy widzieliśmy razem,
wśród czterech ram.

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

Patrzę z galerii

(Londyn, w styczniu).

Gdy tam, pode mną, zaległa wreszcie wielka cisza — przypieczętował ją i jednocześnie zakłócił dwukrotny, głuchy stuk.

Tymczasem — w uliczce przed kopulastym gmachem, z którego zwieszały się kolisto chorągwie 51 narodów, przewiędłe niby confetti o brzasku — tłum nie rozchodził się jeszcze. Był to, prawdę mówiąc, niewielki tłum zresztą, jak na takie wielomilionowe miasto. Raczej garstka ciekawych, którzy tylko co obejrzeli wysiadających z aut delegatów i czekali jeszcze, czy aby nie zdarzy się nagle coś niezmiernie ważnego. Delegacje ze wszystkich stron świata poważnie i bezbarwnie zniknęły już w czeluściach tego wspólnego, udekorowanego gmachu. Jeżeli nic się nie zdarzy — tłum rozejdzie się po ulicach, po domach, i może nie wróci więcej.

Na bliskiej wieży Westminsteru zegar wybija właśnie jakąś popołudniową godzinę. Przyśpieszam kroku, aby nie spóźnić się na historyczny moment otwarcia I-ej sesji Nar. Zjednoczonych, na której ma być zbudowana nowa organizacja współżycia tych wszystkich narodów, które określone zostały jako „miłujące pokój". Czy jednak moment ten utrzyma się w historii świata jako „historyczny" właśnie, to znaczy konsekwentnie i celowo wynikający z charakteru dziejów epoki? I ewentualnie w czym kryje się niezgodność? Troskę o pytanie pierwsze widać tu już wszędzie i w publicystyce i w rozmowach i na twarzach polityków — wbrew ich mniej lub więcej konwencjonalnym przemówieniom. Lecz żadnych dotychczas prób odpowiedzi na drugie pytanie nie napotkałem nigdzie. Zegar na Westminsterze bije, zrobił się półmrok, więc zabłysnęły na ulicach londyńskich sztuczne światła. Przechodzę wbród wezbraną rzekę hałaśliwych pojazdów, mijam cichy, drzemiący w stuleciach gotyk Westminster Abbey i podchodzę pod Central Hall, pod brzydki kopulasty gmach kościoła metodystów, obwieszony teraz chorągwiami o różnych, narodowych barwach...

Wewnątrz, w kuluarach wysłanych tanimi dywanami — spacerują, rozmawiając przyciszonymi głosami, politycy rozmaitych ras i rozmaitych narodów. Jest tłumno, ale już za chwilę zacznie się przerzedzać, za chwilę delegaci zasiądą na sali obrad, a tabliczki, pedantycznie poustawiane tam na stołach, wskażą ich narodowość. Ja idę po schodach wyżej, aby patrzeć z galerii.

Uciszyło się nagle — i w tej ciszy dwukrotnie zastukało uderzenie młotka. Młotek wyglądał tak, jak gdyby był zwykłym drewnianym młotkiem do tłuczenia mięsa, kiedy to chce się z różnych kawałków mechanicznie uformować jeden kotlet. Uderzenie drugie stuknęło jednak jeszcze słabiej, niż pierwsze a trzecie zawisło niezdecydowanie w powietrzu. Tak główny delegat Kolumbii, siwowłosy Eduardo Zuleta Angel otworzył pierwszą sesję zgromadzenia Nar. Zjedn. Ponad głową dostojnego starca zwieszały się jaskrawo jakieś nieprzystojne błękitne i różowe tkaniny. Otaczały go tandetne złocenia. Powoli i ciężko dźwignął się Zuleta Angel, aby przemówić...

Ale jego następca na prezydialnym fotelu, belgijski minister Paul Henri Spaak, zachowuje się już raźniej, otwiera kolejne posiedzenia całą serią szybkich uderzeń młotka, prowadzi obrady z zawodową miną zawodowego dyplomaty. I w miarę przechodzenia od sprawy do sprawy — ten nastrój, nastrój gry dyplomatycznej, utwierdza się coraz wyraźniej. Targi, manewry, wzajemne docinki i wzajemne grzeczności.

Jak na niebie narysowana strzałka drogowskazu — zajaśniała nagle sprawa zgłoszenia przez Światową Federację Związków Zawodowych chęci i gotowości wzięcia udziału w debatach organizacji narodów. Ale załatwiona została proceduralnie i niestety, nie zainspirowała nikogo, przetoczyła się bez poważniejszego echa. Zresztą zasady budowania Organizacji Narodów Zjednoczonych, zostały już w San Francisco określone, przyjęte — i cała maszyna, potoczyła się już po wyboistych drogach historii.

Jak się toczyć będzie i czy trochę lepiej lub gorzej osiągać będzie swoje cele — to się okaże. Nie chcę niczego zgadywać. I dlatego — patrząc z mojej galerii — myślę przede wszystkim o zasadzie, z której twór ten powstał. I dlatego powracam do moich dwóch pytań: Czy twór tak zbudowany, jak ten właśnie, zgodny jest w swym charakterze z kierunkiem dziejów, wynikającym z charakteru epoki? A jeżeli nie — to w czym kryje się niezgodność? Podkreślam jeszcze: nie mam zamiaru niczego twierdzić — z uporem. Ale widzę mgły w publicystyce dzisiejszej — szczególnie w dostępnej mi tu w tej chwili publicystyce angielskiej — widzę troski i niepokoje na ten temat, bez śmiałego dotarcia do przyczyn, do istoty rzeczy. Przyczyny, które mnie się wydają istotne, chcę tu wskazać choćby po to tylko, aby w publicystyce polskiej zagaić dyskusję na temat sprawy niebłahej: dalekich choćby, ale naturalnych perspektyw organizacji świata.

Dyskusję w publicystyce angielskiej na temat Organizacji Narodów Zjednoczonych rozpoczęto tu oczywiście od krytyki Ligi Narodów. I słusznie. Ciekawe bowiem były dzieje tej instytucji i wielce pouczające. Nestety nie spotkałem się w tej krytyce z jakimkolwiek atakiem na samą zasadę, na której budowla stanęła. Główny powód upadku Ligi Narodów upatruje się w braku egzekutywy, w braku odpowiedniej siły zbrojnej, którąby Liga dysponowała. Po drugie w tym jeszcze, że brakło w tej instytucji Stanów Zjednoczonych, a przez długi czas brakło też i Związku Radzieckiego. Wszystko to najzupełniej słuszne. Ale nie były to przecież przyczyny pierwotne.

Szukam tych przyczyn trochę dalej: Liga Narodów była pewnego rodzaju organizacją czy też zgromadzeniem poszczególnych państw, a więc tworów, które są w praktyce nie koniecznie podległe stałym prawom rozwojowym, których cele polityczne mogą się zmieniać w zależności od zmiany ustroju, a nawet od zwykłej zmiany rządu. Stąd wieczna niestatyczność organizacji, która jest tylko luźną organizacją państw. Stany Zjednoczone nie należały do Ligi Narodów, bo należenie nie było na rękę polityce tego państwa. Tak samo w pewnym momencie wystąpiły z Ligi Narodów Niemcy.

Gdzież jest więc ten czynnik dostatecznie statyczny, który byłby stosunkowo najpewniejszą i najbardziej stałą podstawą współpracy ludzkiej na świecie? Ten czynnik istnieje i od dziesiątków lat wzbiera na sile. Mam na myśli właśnie nie organizacje państwowe, zachowujące się koniunkturalnie dopóki są w tej formie, jaka jeszcze przeważa dzisiaj, lecz organizacje, które wyrastają z naturalnej gleby warunków ekonomicznych dających się wykreślać w swym stałym rozwoju, organizacje ludzi, którzy w zagadnieniach swego zawodu, w walce o prawa społeczne swej klasy, w obronie wartości tkwiących w ich pracy — czują, rozumieją i realizują solidarność ponad-narodową, solidarność niezależną od różnicy rasy, mowy czy koniunkturalnych manewrów politycznych.

Liga Narodów upadła, ponieważ była organizacją narodów, a nie organizacją międzynarodową.

Po nowej wieloletniej wojnie — politycy, tworząc znowu zasady, kładąc podwaliny pod Organizację Narodów Zjednoczonych, wyciosali ją niestety, ze starego materiału. Wynieśli wprawdzie wiele nauk z doświadczeń Ligi Narodów, ulepszyli statut, wprowadzili ściślejsze rygory organizacyjne, obarczyli wielkie mocarstwa specjalną odpowiedzialnością, próbują stworzyć egzekutywę w postaci wspólnej siły zbrojnej — ale najważniejszej nauki nie wynieśli, z podstawowego doświadczenia nie skorzystali.

United Nations Organisation — Organizacja Narodów Zjednoczonych jest w rezultacie w dalszym ciągu zbiorowiskiem państw, które osobno, lub grupami, manewrować będą wewnątrz organizacji wygrywając swoje aktualne polityczne cele. Technicznie jest zbiorowisko to lepiej zorganizowane, lecz za to prawdziwego ducha współpracy nie widać tu więcej, niż w początkach funkcjonowania Ligi Narodów. Stąd pesymizm i niewiara, stąd od pierwszej już sesji błyskotliwy rozkwit dyplomacji.

Anglicy, którzy mają zresztą specjalne powody bazowania swej polityki obecnej na Organizacji Narodów Zjednoczonych,

chcieliby widzieć w niej zaczątek pierwszego Parlamentu Świata. Ale wydaje mi się, że nie tędy droga. Parlament, jeżeli nie jest wynaturzony, to choćby był pełen sporów — musi być ożywiony jakimś pozytywnym interesem wspólnym. Tymczasem sama tylko chęć przeciwdziałania wojnie jest wprawdzie celem doniosłym, ale z charakteru swego jedynie negatywnym, a więc niewystarczającym. Natomiast pewien jestem, że to raczej w pierwszym rzędzie wszelkie organizacje międzynarodowe mocniej i pomyślniej rozwiązałyby sprawy ogólnego podniesienia standardu życia i całej odbudowy gospodarczej świata, gdyby wpływ na to oddać im śmielej w ręce, a nie wyłącznie tylko opierać się na obradach państw, z których niemal wszystkie są w polityce gospodarczej ciągle jeszcze przynajmniej potencjalnymi konkurentami jedne drugich.

Cóż, kiedy na ofertę współdziałania ze strony Światowej Federacji Związków Zawodowych — reprezentanci zachodnich mocarstw w Organizacji Narodów Zjednoczonych spojrzeli wprost z przerażeniem. Delegat Stanów Zjednoczonych oświadczył stanowczo, że: „organizacja narodów nie jest organizacją niczego więcej".

Wielka szkoda, że nie jest pod tym względem organizacją niczego więcej. Bardzo żałuję...

*

Są dnie, w których obrady nie kończą się przed północą. Tymbardziej, że każde przemówienie podawane jest w języku angielskim i francuskim. Rada Bezpieczeństwa i Rada Ekonomiczno - Społeczna urzędować będą stale. Następną zaś sesję Zgromadzenia Ogólnego (General Assembly) naznaczono już na kwiecień, na ziemi amerykańskiej. Wielka machina — mająca zapewnić długi pokój światu — rozrosła się i pracuje.

Po wielu debatach i kłótniach zapewne przyjęta będzie wprawdzie jakaś wstydliwa i niewyraźna rezolucja, że „Rada Ekonomiczno - Społeczna winna się kontaktować z tego rodzaju organizacjami, jak Federacja Związków Zawodowych" — ale w zasadzie niemal ogólna wśród delegacji niechęć i bojaźń przed ściślejszą współpracą z organizacjami międzynarodowymi wytwarza sytuację aż dziwną i zastanawiającą. Tak wielkich uprzedzeń nie było nawet na terenie starej Ligi Narodów. A przecież Organizacja Narodów Zjednoczonych stawia sobie dalej jeszcze idące cele koordynacji życia międzynarodowego i współpracy, niż owa przedwojenna instytucja. Czy dojdzie do tego, że będziemy świadkami pewnego rodzaju działalności konkurencyjnej pomiędzy organizacją narodów a organizacjami międzynarodowymi? Ale chyba nie może być wątpliwości co do tego, która ze stron reprezentuje czynnik bardziej stały, bardziej naturalny, mocniej wyrastający z prawdziwych potrzeb życiowych człowieka. Człowieka pracy, człowieka wyzbytego więzów nacjonalizmu i uprzedzeń rasowych, człowieka przyszłości.

Schodzę z galerii nie doczekawszy końca rozwlekłych debat w Central Hall'u. Jest to już dziesiąta z rzędu debata — a będzie ich jeszcze wiele, ciągnąć się będą przez lata całe. Mijam pokój prasowy pełen gorączkowej ruchliwości. Wychodzę przed gmach: boczna uliczka, na którą otwiera się główne wejście, główne podwoje Central Hall'u — jest niemal zupełnie pusta. Nade mną zwieszają się luźno długie, różnobarwne żagle chorągwi narodowych. Idę tam, gdzie przemknął z dala czerwony autobus. I gdzie wznosi się kolosalny Westminster, za którym przypływ morza szeroką falą wdziera się w Tamizę.

Zegar bije znowu. Jest szósta. O tej godzinie — wracając z pracy — przelewają się ulicami Londynu olbrzymie tłumy ludzi, którzy się śpieszą w rozmaitych kierunkach.

Juliusz Żuławski

JAN PAPUGA

„Pole"

— Pole, koło — mówił szturman półgłosem tuż przy nim.

Przestał patrzeć na wodę, odwrócił głowę. Było ciemno. „Czas na ster" — pomyślał sobie. Kiedy było widno, szturman często nie wymawiał nawet krótkich słów. Porozumiewali się doskonale oczami lub ruchem głowy.

Wszedł do sterówki. Marynarz stojący przy kole urągał śmiesznie.

— Idzie jak tramwaj — powiedział wyraźnie kurs i wypadł na skrzydło.

Położył dłoń na najwyższej szprysze koła. Na kompasie kurs się zgadzał. Wbił wzrok w czarną szybę, słabo było widać cień idącego przed nimi okrętu. Sterował na kompas, statek dobrze słuchał steru. Gdy potrzeba było, wolno przekładał z ręki do ręki szprychy koła.

W sterówce nie było zupełnie ciemno. Tarcza biegów na telegrafie, licho oświetlona, rzucała skąpe smugi światła na ścianę, podłogę i sufit. Smugi odbijały się od nich, rozpraszając ciemność i tworząc mrok, w którym oczy łatwo się orientują. Okapturzony kompas mdławo oświecał spokojną twarz. Oczy, zawsze pełne życia, żarzyły się teraz marzącym spokojem. Były jednak uważne, pilnowały biegu statku. Średnio - wysokie czoło pogrążone było w myślach, orli, drapieżny ale wesoły nos, nadawał twarzy nieuchwytną wyzywającą śmiałość. Szczęka nieduża, była jednak twarda, męska.

Wiatr zatrząsł szybami. Podniósł głowę, ogarnął oczami sterówkę i znów patrzał w kompas. Wiatr wzmagał się coraz mocniej. Statek ożył, pochylał się lekko na burty i szumiał wiatrem. Za szybami ciemność ustąpiła. Od czasu do czasu pokazało się światło księżyca, po czym rozlało się na wodę. Księżyc przez szyby oświetlał podłogę sterówki, czasami się chował, przysłonięty większą chmurą.

Sterował teraz na idący przed nim okręt, który doskonale widział wraz z całą kolumną. Z boku słyszał szturmana:

— Po co ten księżyc wylazł?

— Obyłoby się bez niego — odpowiedział.

— Romansu nie będziemy odstawiać.

Od przodu z boku konwoju doszły ich głosy wybuchu bomb głębinowych, później odczuli drgnienia statku.

Szturman wyszedł na skrzydło od zewnętrznej strony konwoju, skąd dochodziły wybuchy.

Księżyc pięknie przyświecał, był zawsze obojętny, czy przyświecał rozkochanej parze, czy tragedii.

Szturman po chwili wszedł do środka, zajrzał w kompas, mówiąc:

— Inwazja dobrze idzie. Amerykanie posuwają się w stronę półwyspu normandzkiego.

— Za wolno idzie — odpowiedział mu. — Przecież są już dwa tygodnie a ciągle prawie stoją w jednym miejscu.

Ale szturman, Anglik, był zupełnie zadowolony z osiągnięć.

Obejrzał się, szturmana już nie było w sterówce.

Myślał o Peggy. Żegnając się z nim, całowała go, mówiąc: „Przyjdź do mnie jak przyjedziesz". Miła mała Peggy. Kochała go, i żądała tylko wzajemności. Kiedy sterował — dobrze mu było myśleć o niej.

Do Anglików przyszedł aby się od nich nauczyć roboty i zrozumieć, co to jest szczur morski. Przekonał się jednak, że był od nich zręczniejszy w tym fachu. Myśląc o Anglikach mówił: „Przeżyli się". Anglicy z nielicznymi wyjątkami traktowali statek jak fabrykę. Spełniali swoje obowiązki, w porcie po pracy, ubrani na modłę lądową, zmieszani z tłumem ludzi zamieszkujących okolice portu, stapiali się z nim i ginęli. Pobłażliwie traktowali statek jako rzecz nieżywą, podrzędną. On — przeciwnie. Statek był zawsze jego przyjacielem, dbał o niego, wiedząc, że nie spotka się z obojętnością. Nigdy nie było mu obojętne, na jakim statku się znajdował. Statek pokraczny, brudny i głupio skomplikowany w robocie, szybko porzucał, śmiejąc się z niego jak z niezdarności ludzkiej. Zgrabny i o ładnej linii, czysty i prosty (nie dbał wiele o szybkość), był jego dumą i szczęściem. Trzymał się zawsze długo takiego statku. Często go Anglicy hamowali, mówiąc z flegmą: „Bierz wolno". On — przeciwnie — szalał jak gdyby nigdy nie miał czasu. Wiedział, że Anglicy umieją tonąć spokojnie i cicho i on by tak potrafił, ale kiedy miał świadomość życia, żył. Czasami kpił sobie mówiąc do Anglików: „Gdy utonę, żadna inna ryba nie śmie mnie zjeść, tylko rekin". Będzie więc cząstką rekina. „Nie będę was oczywiście wtedy zjadał — śmiał się. Tylko żywych pływających w wodzie Niemców, aby nie szli już na żaden inny statek".

Życie w nim kipiało. W jego pojęciu marynarz był żywiołem. Kiedy wychodził na brzeg, nie starał się udawać ludzi z lądu. Nie gardził ani dunkrami, ani niebieską koszulą. Idąc tak ulicami miasta, niósł z sobą powiew morza. Szedł lekko po nieruchomym cemencie chodnika, przyglądał się kształtnym łydkom dziewcząt, piękne biodra budziły w nim pożądanie. Z uśmiechem zaglądał kobietom w oczy, niektóre były oburzone, częściej uśmiechały się do niego. Z przechodniów, niechętnie przyglądających się tym zaczepkom, nic sobie nie robił. Nie zbierał żadnych pamiątek i nie nosił żadnych ozdób. Ale raz w Liverpoolu, w knajpie, zobaczył u marynarza Norwega złoty ciężki łańcuch, z przyczepioną maleńką kotwicą i sercem. Norweg miał szerokie dunkry, był w przypłowiałej niebieskiej koszuli, rozchełstanej pod szyją. Z podwiniętych za łokcie rękawów wychodziły ręce jak manile. Przy lewym napięstku nosił ten łańcuch swobodnie i pysznie. Rzezimieszki z otwartymi gębami nienawistnie przyglądali mu się mierząc swe siły myśląc o zdobyczy. Nie mieli żadnych szans. Norweg był beztrosko pewny siebie. Podobał mu się, a jeszcze bardziej jego łańcuch. Po przepiciu kilku kolejek kupił łańcuch za dwadzieścia funtów. Odtąd nosił go na lewej ręce, podobnie jak tamten. Na pięknym maleńkim sercu kazał wyryć: „Polak Bohdan Wrona".

Nigdy się z nim później nie rozstawał. Był to jakby jego rodowód i dokument. Niektórzy marynarze nosili przy napięstku na tasiemce blaszkę z nazwiskiem i adresem na wypadek śmierci. Zawsze się z nich wyśmiewał, a teraz poszedł w ich ślady. Pełen wesołości szedł w dunkrach nawet na tańce, był to zuchwały nietakt w stosunku do eleganckiego świata. Skutek był jednak taki, że panny nie obrażały się, ale bardziej lgnęły do niego. Był beztroski, często wpadał w szaloną radość, swawolił. Wtedy nie było dla niego niemożliwości. Często przeholowywał. Rzadko jednak raził ludzi, przeważnie dokoła niego nie było widać smutnej twarzy.

Prócz Niemców kochał wszystko. Gdyby Niemców nie było, byłby szczęśliwy. Kiedy słyszał o zwycięstwach Niemców, śmiał się jak potępieniec. Niech by sto niemieckich samolotów przyleciało, miałby wtedy do czego strzelać. A strzelał nieźle. Pod Londynem trafił do nurkującego do nich samolotu, kiedy wszystkim dech w piersiach zapierało, tak dokładnie, że wszyscy radośnie odsapnęli, nie wiedząc jak to się stało. Samolot, nie przestając nurkować, wbił się w wodę tuż przy nich. Blisko Scapa Flow na redzie, gdy Heinkel po storpedowaniu statku uciekał tuż nad wodą na wszystkich obrotach, rozbił go tak, że zostały po nim tylko pływaki. Potem kapitan nazwał go „swoim szczęściem" i śmiesznie dodawał, że jeśli porzuci jego statek, to i on pójdzie precz. Kiedy ludzie narzekali na wojnę, wcale ich nie słuchał. Wiedział, że Niemcy postanowili bezwzględnie wytępić jego rodaków. Przyjął to bez tragedii, ale z szaleńczą determinacją — choćby jeden na wszystkich. Odkąd to pojął, wojna stała się jego żywiołem. Gdy myślał o milionach pomordowanych Polaków, odczuwał ich ból. Ból tych ludzi gasił wartość jego życia, był między nimi. Lecz on żył. Miał w sobie świadomość życia. Zemsta przeżarła mu mózg, krew zamieniała się w jad, który zabijał. Wojna była spuścizną jego przodków. Sumiennie wypełniał ich wolę i dlatego był szczęśliwy.

Był koleżeński. Wspomagał kolegów swoją radą i siłą. W bójce pięść jego celnie smagała. Pieniądz nie stanowił celu jego życia. Jego szeroka natura, zda się, ogarniała wszystko. Lubił czytać książki. Często mówił Anglikom o ich morskiej historii. Umiał pracowa[illegible] szło mu to lekko i zręcznie. Szturmani mówi[illegible] że jest doskonałym marynarzem.

Sterował jedną ręką, już nie myślał o Pe[illegible]y. Spoglądał na zegar, dochodziła dwunast[illegible] Nucił cicho piosenkę o księżycu, którą słyn[illegible] w ostatnim porcie. Ze schodów doszły go o[illegible] głosy kroków następnej wachty. Do sterów[illegible] wszedł hałaśliwie marynarz. Powiesił kurt[illegible] na haku, rzucił pas ratunkowy tuż przy ko[illegible] pasie i sapiąc, jak człowiek zbudzony ze s[illegible] stanął przy kole.

Zdał mu kurs i wyszedł.

Szedł wolno po rozświeconym pokładz[illegible] Zatrzymał się na chwilę na śródokręciu. Ki[illegible]życ świecił jasno. Patrzał na równe kolum[illegible] statków, nie dymiły prawie wcale. Z przo[illegible] doszło kilkanaście słabych wybuchów, sł[illegible] się odbiły o burty. Patrzał na zewnętrzną st[illegible]nę: szli z lewej strony konwoju w pierwsz[illegible] kolumnie, jak bufor. Idący blisko kontrtorp[illegible] dowiec wykręcił się do nich rufą i pomk[illegible] szybko, zostawiając za sobą pianę. Wszedł [illegible] messy.

W messie Anglicy rozmawiali o inwaz[illegible] klnąc Niemców co drugie słowo.

— Hej Pole, — krzyknął jeden, — nie b[illegible]dzie już teraz długo do powrotu do tw[illegible] kraju.

Nie zdziwiło go to wcale, przynajmniej [illegible] dziennie przez całe pięć lat tak mu mów[illegible] Uśmiechnął się, teraz się nie mylili. Słucha[illegible] ich rozmowy wypił kubek gorącej herb[illegible] potem poszedł do kabiny, zanurzył się w s[illegible]ją koję i zasnął.

Anglicy także wkrótce opuścili messę i[illegible] do swoich koi. Na rufie zrobiło się cicho.

Statki płynęły w ściśniętych kolumnach, p[illegible]woli, zuchwale idąc w stronę Francji. Księ[illegible] zaszedł. Konwój szedł przysłonięty nocą, [illegible] przy brzegu Francji. Bomby głębinowe od[illegible]wały się jeszcze z lewej od strony brzegu [illegible] przeszkadzając wcale śpiącym pod pokład[illegible] Przyzwyczajeni do tych odgłosów, spali tw[illegible] do.

Nagle podrywają się wszyscy. Dzwo[illegible] dźwięczą alarm.

Zerwał się z koi, chwycił pas ratunkow[illegible] wybiegł z kabiny. Na pokładzie raził go [illegible] oczy jarzący blask, to okręt idący przed [illegible]mi wystrzelił dwie rakiety. Skoczył na tra[illegible]wiodący na gun-deck; gdy biegł do dział[illegible] huk eksplozji i wstrząs zatrzymał go na chw[illegible]lę. Przytrzymał się poręczy. Z przodu sta[illegible] wystrzelił w górę słup wody i dymu. Traf[illegible] ich torpeda. Z gun-decku zagrzmiało dzi[illegible] dwa razy, raz po raz. Wbiegł pędem. Widz[illegible] usuwających się na pokład Anglików. Skoc[illegible] i przylgnął do podstawy działa. Pociski głu[illegible]biły w żelazo, jęcząc piekielnie, leciały [illegible] wszystkie strony. Poczuł nagły ból w lew[illegible] obojczyku, ukąsiło go, ale ręką mógł ru[illegible] Wychylił oczy, ścigacz z rykiem leciał [illegible] daleko nich, bijąc ze wszystkich działek i [illegible]rabinów maszynowych. Za ścigaczem z b[illegible] naprzeciw ich kursu, zabieliła się woda [illegible] szedł z niej kiosk łodzi podwodnej ż[illegible] białą bruzdę. Cały pokład jej był pod wo[illegible] Działo z kiosku, skręcone w ich stronę, z[illegible] ogniem. Dwa pociski trafiły. Mostek prze[illegible] istnieć. Spojrzał na leżących Anglików i [illegible]nął:

— Hej, który może odpalić?

Wstał jeden jak cień, cisnął ręką brz[illegible] dosunął się do zamka działa.

„Pole" załadował w jednej chwili. P[illegible] celownik wczepił wzrok w kiosk. Podc[illegible] coraz bliżej.

— Tak, teraz.

— Ognia! — krzyknął silniej, zmusz[illegible] półżywego kolegę do ostatniego wysiłku.

Działo drgnęło. Pocisk pękł ogniem w k[illegible]ku, znosząc go doszczętnie. Anglik osun[illegible] tuż przy zamku na pokład, przycis[illegible] brzuch obydwiema rękami. Pokład łodzi w[illegible]rzył się z wody. Stanął w miejscu całą s[illegible] długością.

Obejrzał się. Śródokręcie jego statku [illegible] pod wodą. Przytrzymując pas, skoczył do [illegible]rza. Szybko zgarniał wodę ręką i nogami [illegible] pływając od tonącego statku.

— Dzielny mały stateczek — rzucił m[illegible] pożegnanie.

Ostatnia rufa szła w wodę, wraz z jego [illegible]legami leżącymi pokotem przy dziale.

Najbliższe statki grzmiały wszystkim [illegible]niem dobijając łódź podwodną. Miały [illegible] cel, lekką robotę.

Kiedy uniósł się z falą, nie widział już [illegible] podwodnej. Statki wstrzymały ogień, i [illegible] cicho. Wolno spływały rakiety, oświe[illegible] ciągle płynący tym samym kursem konwó[illegible]

Dokręcił szkło lampki. Czerwone świa[illegible] nie wybłysło.

— Do diabła! — zaklął. — Przecież o[illegible] go lichego światełka może zależne jest [illegible] życie.

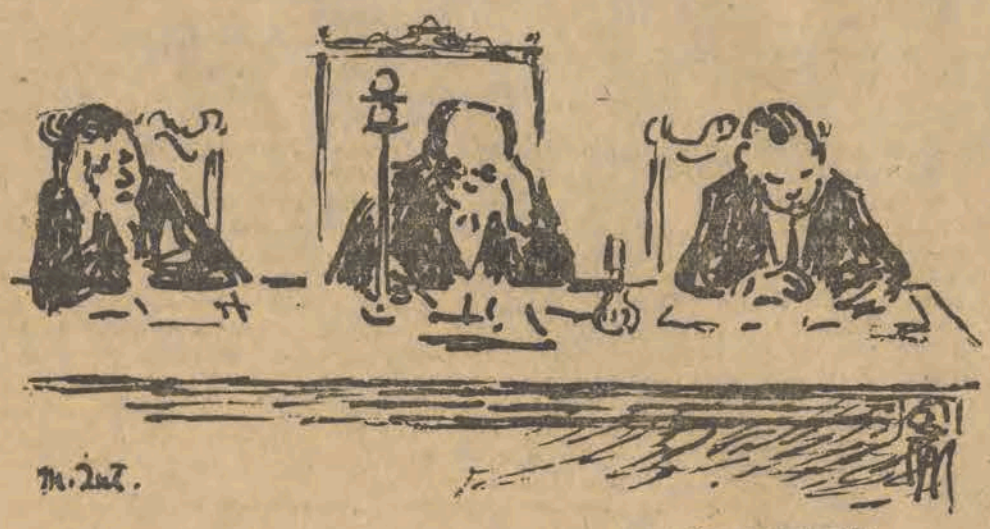

rys. Marek Żuławski

P. H. Spaak na fotelu prezydjalnym ONZ

Statki przepływały z dala nie widząc go. Nie krzyczał. Szły za daleko by go usłyszeć. Nie miał do nich najmniejszej urazy. Cieszył się widząc je, że wciąż płyną załadowane i groźne. Jedna łódź podwodna nie będzie już więcej słała im torped. Uśmiechnął się do siebie. Tak, konwój musi dopłynąć do Francji, na zgubę Niemcom. On, ranny, płynący w wodzie, cieszył się tym wszystkim. Konwój go minął i zniknął. Dochodziły go jeszcze wybuchy bomb głębinowych. Słabe uderzenia wody odczuł na własnym ciele, aż i one ustały i zrobiło się zupełnie cicho. Wiatr tylko wiał i fale szumiały. Nigdy nie czuł się tak samotny jak teraz. Był w zupełnej bezczynności, zdany na łaskę fal i wiatru. Pas ratunkowy doskonale go unosił, gdyby woda była ciepła, byłoby mu nawet przyjemnie. Ani fale ani wiatr nie były dla niego łaskawe. Dął północno - wschodni wiatr i chłostał go po twarzy. Woda była przejmująco zimna i gorzka. Ciągle zalewała mu twarz. „Może i lepiej" — myślał. Krew mu zakrzepnie na obojczyku. Czuł się dobrze. Gdy było bardziej zimno, przez głowę mu przechodziło: „Odpłacę ja im — z naddatkiem". Był pewny, że gdy słońce wzejdzie i zrobi się widno zobaczy go jakiś okręt przyjacielski lub samolot. Odpocznie sobie wtedy trochę i z powrotem wróci na statek. Przypomniała mu się Peggy i ciepłe łóżko. Zawsze rano przynosiła mu filiżankę gorącej herbaty, całowała go i szła do pracy.

„Dobra, mała Peggy. Wrócę do niej i będzie mi po stokroć lepiej". Na chwilę zza wystrzępionych chmur pokazały się gwiazdy. Było jaśniej. Po czym przyszły chmury w zbitej powłoce, zrobiło się czarno. Woda zlewała się z powietrzem. Zdawało mu się, że płynie zawieszony ni to w wodzie ni to w powietrzu. Czarna maź była pod nim i nad nim. Czasami fala błysnęła w załamaniu tuż przy nim. Zimno mu było, czuł, że słabnie. „Tak jest chyba w piekle" — pomyślał sobie, tylko nie tak zimno. Nie lubił nigdy samotności, kochał ludzi i stale był między nimi. Czuł znowu, że słabnie. Wokoło — pustka, ani okrętu ani samolotu. Wiatr dął silniejszy. Śmiał się ze swojej komicznej obawy, by wiatr go nie zapchnął do Francji w ręce Niemców. „Aby wytrzymać do wschodu słońca!"— nie wychodziło mu z głowy. Znów ukazały się gwiazdy. Wiatr pędził nisko chmury nad wodą. Na wschodzie czarno-granatowe niebo zaczęło sinieć. „Słońce wzejdzie niedługo" — pocieszał się. Całe ciało miał zimne. Czuł, że drętwieje. Woda zalała go kilka razy. Pił ją zimną jak lód. I dusił się. Nie odczuwał teraz ani zimna ani bólu w obojczyku. Głowa mu drętwiała i robiła się ciężka. Na wschodzie niebo coraz bardziej jaśniało i chmury były już w jaskrawej czerwieni. Słońce wychodziło z wody, powoli, ogromne, czerwone jak krew. Patrzał na nie. „Tam jest mój kraj" — rozjaśniło mu się w głowie. Przed oczami miał blask jaskrawy, czerwony, oślepiający. Przez przymknięte oczy ciągle widział blask. Ogień buchnął biały, oślepiający, jak w nocy z olbrzymiego działa. Powoli ciemniał, aż zgasł.

Słońce szło coraz wyżej, pieszcząc fale złotem, przesycając powietrze ciepłem. Morze teraz było przyjemne i żywe, jasne i rozświecone wokół horyzontu. Wysokie fale, łamiące się na czubach, błyszczały słońcem. Wiatr był teraz łagodniejszy i ciepły. Spędzone chmury odsłoniły czysty, poranny błękit nieba. Nie było widać żadnego samolotu i okrętu na horyzoncie. Płynął sobie sam w tej pozornej pustce. Chwilami fale wyrzucały go do połowy pokazując głowę i pierś w rozpiętej niebieskiej koszuli, spiętą pasem ratunkowym. Włosy zlepiły mu się przylegając do czaszki. Kiedy był zanurzony w wodzie, jaśniała tylko blada twarz z sinymi oczodołami, nieruchoma, ostra, jak gdyby było w niej utajone życie. Miłość i nienawiść, ożywione walką, wyrzeźbiły mu twarz teraz w formie ostatecznej, śmierć ukazała istotny sens jego życia.

Twarz, która jednych mogłaby roztkliwiać i pobudzać do miłości całego rodzaju ludzkiego, innych przerażać siłą wyrazu zawartej w niej woli walki. Widzieli w niej wtedy pogardę i nienawiść. Rozpoznawali w nim swego wroga, którego śmierć zrobiła niezłomnym, nieprzejednanym, groźnym i strasznym.

Około południa płynął wzdłuż francuskiego brzegu. Mijał okręty przyjacielskie strzelające w stronę lądu. Później fale zepchnęły go w ciżbę tysiąca inwazyjnych statków. Płynął wśród przyjaciół. Marynarze zwijali się jak opętani, wyrzucając ładunek na krypy i barki. Nie słyszał ich ani nie widział. Przepłynął blisko statków z jego konwoju. Zobaczyli go. Marynarze zbiegli się przy burcie, przyglądając mu się. Płynął jak na inspekcji. W spokoju przyjmował ostatnią uroczystą pożegnalną defiladę. Marynarze widzieli wiele pływających trupów, nie widzieli jednak takiego jak on. Patrząc na niego, nieruchomieli w zupełnej ciszy, odprowadzając go wzrokiem. Nie odzywali się do siebie ani słowem.

Kiedy przepływał obok polskiego statku, najmłodszy chłopak pokładowy krzyknął:

— Patrzcie, on żyje — i skoczył po trap chcąc go wyciągnąć z wody.

Pierwszy oficer nie chcąc mieć trupa na pokładzie, pohamował go słowami:

— Zostaw go. Jemu nic już nie potrzeba.

Chłopak zaniechał zamiaru, stanął jak wryty i wczepił oczy w jego twarz. Kiedy daleko odpłynął, chłopak ryknął:

— Przysięgam, że on żyje — takim głosem, że oficer nie wiedząc, czy miał słuszność, czy chłopak zwariował, szybko odszedł.

Płynąc obok szpitalnego statku, znów odbierał ostatnią ciszę pożegnalną. Z górnego pokładu pochylone nad poręczą, przyglądały mu się pielęgniarki. Kiedy był blisko, jedna z nich wyszeptała głęboko:

— Patrzcie, co za twarz, na pewno jakaś dziewczyna go kocha i serce jej pękło. Mój chłopiec jest marynarzem. Na myśl, że i on tak może pływać — nie, wtedy chyba umrę.

Była jednak dzielna. Z szeroko otwartymi oczami, obdarzała go swą miłością. Czuła, że oddech jej się zatrzymuje i że cała drętwieje. Przykryła oczy rękami, usuwając się na leżak. Inne wolno odchodziły.

Kiedy odpłynął dalej i fale go już zasłoniły, dziewczyna znów wyszeptała cicho:

— Tej twarzy nigdy nie zapomnę.

Znów płynął sam. Zostawił za sobą przyjacielskie statki i płynął przy brzegu zajętym przez Niemców. Słońce z wysoka ciepłem pieściło mu twarz. Morze kołysało jak matka. Przecież dobrze go znało. Oddawał mu prawie pogańską cześć żyjąc jak żywioł, jak jego syn.

Pod wieczór, kiedy słońce było już blisko horyzontu, podpłynął do niego niemiecki ścigacz patrolowy. Jeden z marynarzy uchwycił go za pas ratunkowy na piersiach i uniósł z wody. Patrzyli na jego nogi zgięte w kolanach, na ręce zgięte w łokciach i zaciśnięte w kułak dłonie. Przyglądając się twarzy doznali wstrząsu. Drugi marynarz podniósł lewą rękę z wody, obejrzał złoty łańcuch, badając dokładnie jego wartość. Po chwili wyczytał cicho:

— Polak.

Wypuścił zimną rękę, która z powrotem zanurzyła się w wodzie i błędnym wzrokiem przeszywał po twarzach kolegów. Ci zastygli nieruchomo nie mogąc oderwać oczu od tej twarzy.

Wojował jeszcze po śmierci jak gdyby za żywota miał jej za mało. A teraz niesamowitym spokojem drwił sobie z nich. Miał dla nich okropną pogardę, paraliżował im mózgi. Dławił i ciągnął za sobą, jakby mówił „Nie przebaczam".

Za życia za dużo bólu mu zadali.

— Puść go — charknął oficer, nie każąc nawet szukać dokumentów.

Ścigacz zaryczał i pomknął. Oficer teraz ryknął:

— Przeklęty naród. Straszą nawet po śmierci!

— Nawet Hansowi odechciało się rabować — podtrzymał drugi. — Co to było, miedź? — ciągnął dalej.

— Nie żadna miedź, szczere złoto.

— Dlaczegoś nie ściągnął, idioto?

— Mogłeś ty.

Oglądali się za siebie — nieswojo im było.

Fale go niosły. Posiniał na twarzy jakby z gniewu. Ciemność znów go spowiła, jak ubiegłej nocy. Kiedy księżyc wszedł na niebo, był już blisko, przy cyplu półwyspu normandzkiego. Tu fala wyrzuciła go na zasieki z drutów olczastych, ogmatwanych wokół pali wbitych w wodzie. Do pasa był wynurzony z wody, z jedną rękę wzniesioną w górę.

Przechodzący brzegiem wartownik wziął go za żywego. Wygarnął cały magazyn zabijając go po raz drugi.

Kiedy przybiegł patrol — już go nie było. Silniejsza fala zdjęła go z drutów i niosła dalej.

Płynął teraz na otwarty Atlantyk. Wolny jak marynarz. Wierny swemu żywiołowi, który mu dawał życie i wolę do walki, a teraz przyjął go do siebie jak wiernego syna.

Jan Papuga

Jan Papuga ur. 1915 r. w Łodzi. Pracował jako robotnik. W okresie wojny przebywał w Anglii, gdzie służył w flocie handlowej jako marynarz. Debiutował w „Wiadomościach Polskich" w r. 1944, drukował opowiadania w „Nowej Polsce" i innych pismach polskich, ukazujących się w Anglii. Tom opowiadań „Najpiękniejszy rejs" zakupiony przez f. Orbis w Londynie nie został wydany z uwagi na demokratyczne tendencje polityczne.

Dwa portrety

Zwolennikom intuicji, nadlogiki, ducha, obrońcom wiecznego człowieka i kultury zachodniej, przeciwnikom cywilizacji technicznej — ten portret duchowego ojca ofiarowuje „KUŹNICA".

Rzeczywiście, stawał się coraz bardziej roztargniony, a jednocześnie jakby czymś wzruszony

— Teraz nie chcę już marzeń i złotych snów, teraz pan wystarczy mi! Pójdę za panem — powiedziałem oddając mu się całą duszą.

— Za mną? A moja pielgrzymka już się skończyła i to właśnie dzisiaj. Spóźniłeś się, kochanie. Dzisiaj odbywa się finał ostatniego aktu — i kurtyna zapada. Ten akt ostatni trwał długo. Zaczął się bardzo dawno — wtedy, kiedy uciekłem ostatni raz za granicę. Rzuciłem wtedy wszystko, wiedz kochanie, że wtedy — rozszedłem się z twoją mamą i sam to jej oświadczyłem — powinieneś wiedzieć o tym. Powiedziałem jej wtedy, że wyjeżdżam na zawsze, że już się nigdy nie zobaczymy. Co gorsza, zapomniałem nawet o tym, żeby jej zostawić pieniędzy. O tobie — myśl mi nawet w głowie nie powstała, ani przez chwilę. Wyjechałem z tym, że zostanę w Europie, mój drogi, że nigdy nie wrócę do domu. Emigrowałem.

— Do Hercena? Żeby wziąć udział w propagandzie zagranicznej? Pan zapewne przez całe życie należał do jakiejś tajnej organizacji? — zawołałem nie mogąc się powstrzymać.

— Nie, mój drogi, do żadnej organizacji nie należałem. A tobie aż oczy zabłyszczały; lubię ciebie ogromnie, kochanie, w chwilach twojego zapału. Nie — uciekłem po prostu w nagłym porywie tęsknoty. To była tęsknota szlachcica rosyjskiego, — nie mogę doprawdy lepiej nazwać. Szlachecka tęsknota — i nic więcej.

— Poddaństwo... ludu? — wyszeptałem ciężko dysząc, urywanym głosem.

— Poddaństwo? Myślisz, że tęskniłem do poddaństwa? Że nie mogłem znieść wyzwolenia włościan? O nie, kochanie, przecież to my właśnie byliśmy tymi wyzwolicielami. Emigrowałem bez najmniejszego gniewu... Wyjechałem raczej z duma, niż w pokorze i pokucie i, wierz mi, byłem jak najdalszy od myśli, że nadszedł czas, abym zakończył swój żywot, jako skromny szewc. Je suis gentilhomme avant tout et je mourrai gentilhomme! Ale zawsze było mi smutno. Przecież takich jak my jest w Rosji może tysiąc; może na prawdę nie więcej — ale przecież to wystarczy, aby idea nie zginęła. Jesteśmy chorążymi idei — mój drogi!...

— Widzę — zawołałem — że pan znowu chce powiedzieć wszystko, co pan ma w sercu... Cóż dalej, czy Europa dała panu odrodzenie? I co to jest pańska „szlachecka tęsknota?". Niech pan daruje, mój kochany, ale ja tego jeszcze nie rozumiem.

— Czy dała mi odrodzenie? Ale przecież ja sam jechałem po to, żeby wyprawić jej pogrzeb?

— Jej pogrzeb? — powtórzyłem zdumiony. Wersiłow uśmiechnął się.

— Drogi Arkadiuszu, dusza moja jest teraz utrudzona i duch mój jest zmącony. Nigdy nie zapomnę pierwszych chwil, które wtedy przeżywałem w Europie, ale wtedy były czasy niezwykłe i nigdy jeszcze nie przybyłem do niej w takiej rozpaczy i... z taką miłością w sercu, jak wtedy.

Miałem sen, jakiegobym się nigdy nie spodziewał, bo nigdy mi się nic podobnego nie śniło. W Galerii Drezdeńskiej jest obraz Claude Lorrain'a, podług katalogu — „Asis i Galatea", a ja nazywałem go zawsze „Złotym wiekiem", sam nie wiem dlaczego. Już i przedtem rzucił mi się w oczy, a ostatnio, jakieś trzy dni temu, znowu zwróciłem na niego uwagę. I ten właśnie obraz mi się śnił, ale nie jako obraz, lecz jakby jakaś rzeczywistość. Zresztą nie wiem dobrze, co to właściwie mi się śniło: niby zupełnie tak jakby na obrazie — zakątek Archipelagu greckiego, przy czym i czas jakby się cofnął wstecz o trzy tysiące lat; błękitne, ciepłe fale, wyspy i skały, wybrzeże usiane kwiatami, w dali cudowny widok, zachód słońca jak żywy — słowem, nie da się opisać. Tu człowieczeństwo Europy odnalazło swoją kolebkę i myśl ta jakby i moją duszę napełniła miłością braterską. Tu był raj ziemski ludzkości: bogowie schodzili z niebios i bratali się z ludźmi... O, jacy piękni ludzie tu żyli! Czarowny sen, błogie urojenie ludzkości! Wiek złoty — marzenie najniewiarogodniejsze ze wszystkich, jakie kiedy istniały, za które jednak ludzie oddawali całe swoje życie i wszystkie swoje siły, dla którego umierali i ginęli chętnie prorocy, bez którego ludy nie chcą nie tylko żyć, ale nawet umierać! I wszystko to jak gdybym przeżył we śnie: i skały i morze i pochylone promienie zachodzącego słońca — wszystko to jak gdybym naprawdę widział jeszcze, kiedy obudziłem się i otworzyłem oczy — dosłownie zwilżone łzami. Pamiętam, jak byłem wesół. Poczucie szczęścia, jakiego jeszcze nie doznałem, przeszło przez moje serce aż do bólu: to było umiłowanie człowieczeństwa. Był już wieczór; przez zieleń stojących na oknie kwiatów przedzierał się pęk promieni słonecznych i zalewał mnie jasnością. I oto, mój kochany, ów zachód słoneczny pierwszego dnia życia ludów Europy, który widziałem we śnie, zamienił się dla mnie nagle, natychmiast po moim obudzeniu się, na jawie — w zachód słońca w ostatnim dniu człowieczeństwa Europy! Wtedy jakby najwyraźniej słychać było nad Europą dźwięk dzwonu pogrzebowego. Nie chodzi mi tylko o wojnę i nie o Tuilleries; wiedziałem i tak, że to wszystko musi minąć, całe oblicze dawnego świata europejskiego — wcześniej czy później: ale jako Rosjanin-Europejczyk nie mogłem się z tym pogodzić. Przecież oni niedawno spalili Tuilleries. O, uspokój się, wiem, że to było „racjonalne" i aż nazbyt rozumiem konieczność idei chwili bieżącej, ale jako chorąży najwyższej myśli kultury rosyjskiej, nie mogłem się na to zgodzić — bo najwyższą myślą kultury rosyjskiej jest powszechne braterstwo wszystkich idei. I któż w całym świecie mógłby zrozumieć taką myśl; byłem samotnym tułaczem. W całej Europie nie było wtedy ani jednego Europejczyka. Tylko ja jeden spośród wszystkich tych nafciarzy mogłem powiedzieć prosto w oczy, że ich Tuilleries — są błędem; i tylko ja jeden spośród wszystkich konserwatystów - mścicieli mogłem tym mścicielom objawić — że Tuilleries, chociaż były zbrodnią, ale leżały w porządku rzeczy. I to dlatego mój chłopcze, że ja — jako Rosjanin, byłem wtedy w Europie jedynym Europejczykiem. Chodzi mi nie o siebie — chodzi mi o całą myśl rosyjską. Tułałem się, mój kochany, tułałem się i zdawałem sobie sprawę z tego, że muszę milczeć i tułać się.

...Tak chłopcze, powtarzam, że nie mogę nie szanować mojego szlachectwa. Wytworzyliśmy w ciągu wieków specjalny, nigdzie nie spotykany typ kultury, jakiego nie ma w całym świecie — typ wszechświatowego cierpienia za wszystkich. Jest nas może tylko tysiąc, może więcej, może mniej, ale cała Rosja istniała dotychczas tylko po to, aby stworzyć ten tysiąc. Może kto powie, że to mało, może kto oburzy się że na stworzenie tysiąca ludzi zużyto tyle wieków i tyle milionów istnień ludzkich. Moim zdaniem, to nie jest mało...

...— Emigrowałem — ciągnął dalej — i nie żałowałem tego, co pozostało za mną. Dopóki byłem w Rosji, służyłem jej tak, jak tylko mogłem; po wyjeździe, służyłem jej dalej, ale rozszerzając znacznie dawną ideę... Tylko ja jeden, w całej Europie z moją tęsknotą rosyjską, byłem w owym czasie człowiekiem wolnym.

Wtedy — emigrowałem, ale czyż porzuciłem Rosję? Nie — służyłem jej nadal. Chociażbym nawet nic specjalnego nie robił w Europie, chociażbym pojechał na tułaczkę (zresztą — wiedziałem dobrze, że jadę tylko na tułaczkę) — wystarczy to, że jechałem ze swoją ideą i ze swoim uświadomieniem. Wiozłem tam moją tęsknotę rosyjską. O, więcej! Nikt nie umie może kochać Rosji bardziej ode mnie, a przecież — nigdy sobie nie wyrzucałem, że Wenecja, Rzym, Paryż, skarbiec ich sztuki i nauki, dzieje ich — są mi milsze niż Rosja. O — Rosjanie kochają te stare cudze kamienie, owe cuda starego świata Bożego, owe gruzy cudów Bożych, a nawet my kochamy je bardziej niż oni sami. Oni teraz myślą o czymś innym i dążą do czegoś innego i nie kochają już starych kamieni...

T. Dostojewski „Wyrostek" t. II fragmenty spowiedzi Wersiłowa.

***

Z rozmowy dziennikarza francuskiego z „ministrem spraw zagranicznych" „rządu" londyńskiego hr. Tarnowskim.

Ostatnio „minister spraw zagranicznych" Tarnowski oświadczył: „Jeżeli Anglia nas nie będzie chciała, osiedlimy się w jednym z państw południowo-amerykańskich, które pozostały nam wierne i będziemy ciągle polskim rządem".

Kiedy zwróciłem mu uwagę, że w dniu, kiedy te same państwa południowo-amerykańskie nawiążą stosunki dyplomatyczne z Polską, będzie musiał chętnie, czy niechętnie, zwrócić się do Warszawy, „minister" Tarnowski odpowiedział:

„Oto jacy jesteście. Czyż można stale rozumować z punktu widzenia materialistycznego i praktycznego! A duch, mój panie, cóż wy o tym sądzicie?".

„Samedi Soir" z 10.1.46, Paryż.

MARIUSZ MARGAL

Przez miedzę o krok

Myli się, kto sądzi, że nasza trzystapięćdziesięciokilometrowa granica na zachodzie jest granicą z Niemcami. I wcale nie trzech sąsiadów mamy, a czterech. Czwarty nasz sąsiad, najmniejszy i najmilszy to Łużyce. Gdzieś na wysokości Gubina wysunie się na zachód od Nysy nowa granica, zagarnie 6.000 km² najstarszych terenów słowiańskich i po 1.000 latach znajdą się Serbowie Łużyccy w rodzinie wolnych narodów słowiańskich. Jednocześnie zmniejszy się o 150 km nasza granica z Niemcami, a po drugiej stronie Nysy z pomocą Polski i Czech rozwinie się nowy słowiański kraj. Jeszcze może będzie wiele konferencji i posiedzeń, zanim ustalą się w ostatecznej swej formie granice i obszar państwa łużyckiego. Na pewno nie jednemu Anglikowi nie w smak będzie powstanie nowego państwa słowiańskiego o tak trudnej do wymówienia nazwie. I na pewno znowu między Pragą a Warszawą rozpocznie się wymiana not w sprawie przyszłej formy ustrojowej tego państwa. Ale ono będzie.

Kiedy wracałem z Berlina do kraju na żadnej mapie nie widniała jeszcze nazwa: Chociebuż. Po prostu — wciąż był sobie zwykłym Cottbusem, upstrzonym białymi strzępami prześcieradeł, nie pozdejmowanymi od przyjścia Rosjan. I niczym się nie różnił od innych niemieckich miast swymi ruinami i zniszczonym mostem nad Szprewą, swą żałobą w bieli i czerwieni, swymi „Sieg oder Sibirien" na murach. Nie, w stolicy owej Nieder Lausitz, w Cottbusie, nie znalazłem ludzi, których by łączyło cokolwiek z Bolesławem Chrobrym i ze słowiańszczyzną. Nie mówili nawet: „Wir sind Lausitzer". Oni byli po prostu „Cotbuser" i rządko który umiał powiedzieć poprawnie „ziendobri" lub „sziakref koleure" — jedyne, co znali z polskiego.

Ale nieco na północ, gdzie Szprewa wpływała w wielkie lasy, gdzie ginęła nagle i, sama nie wiedząc kiedy, zamieniała się w nieprzeliczone błotniste odnogi, zupełnie do poleskich podobne, wyrastały dziwne jakieś wioski. Nazywały się Byhleguhre i Wotschofska, nazywały się Babow i Guhrow, a przepływały przez nie rzeczki i rzeczułki bez początku i bez końca, że nie wiadomo było, gdzie staw, gdzie jezioro, a gdzie Szprewa, a te rzeczki nosiły takie znane nazwy: Mutnitza, Kossowa i Luscha. Tu, w drewnianych chatach pod słomianymi dachami, znalazłem ludzi, którzy w święta, we własne swojskie święta, a nie te narzucone, pańskie, zdejmowali robocze ubrania i ostrożnie wyjmowali z dużych rzeźbionych skrzyń przebarwne stroje ludowe, jak bardzo podobne do łowickich. Ale tych ludzi było naprawdę nie wielu. A ich dzieci nosiły krótkie obcisłe spodenki HJ albo BDM'owe spódniczki i mówiły językiem, który ich przodkowie uważali kiedyś za niemy.

Szukałem Łużyczan. Przeszedłem wszystkie drogi grubą czerwienią zaznaczone na wydanej przez koncern naftowy „Aral" mapie nr 7, którą wziąłem z jakiegoś opuszczonego mieszkania. Byłem w Dobrau i Lomske, byłem w Dobrolugk i Niesky. Jakże smutne, że z Łużyczan zostały przede wszystkim nazwy i historia. Na obszarze 6.000 km. kw. wśród 1,5 miliona mieszkańców, jeżeli 500 tys. mówi o sobie, że są Łużyczanami, to — niestety, większa część młodzieży mówi to po niemiecku: „Ja, wir sin Lausitzer'l, co znaczy, że wczoraj mówili z dumą: „Wir sind Deutsche!" Z dziada na wnuka, z ojca na syna przedzierało się w walce z Germanie wszystko łużyckie. W wieku XX młodych Łużyczan wychowało już HJ i BDM. Ci z Cottbusu i Spremberga to są już Niemcy. Stuprocentowi. A nielicznej garstce z nadszprewiańskich błot trzeba silnej i trwałej pomocy, by się utrzymała.

Na południu jest Łużyczan więcej i są lepiej zorganizowani. W łużyckiej stolicy, w Budziszynie, gdzie w XIX w. Andrzej Kocharski dawał wskazówki, przy wódcom łużyckim Jordanowi i Smolerowi, jak prowadzić naród, wydaje dziś młody Andrzej Nawka „Serbskie Nowiny", w których domaga się niepodległości. Ale któż czyta to pismo? Nawet nie wszyscy Łużyczanie.

Po pierwszej wojnie wielcy politycy nie zawsze wiedzieli że nasz Śląsk to nie Cylicja. Wątpię, czy jest po tej wojnie jakiś wielki polityk, który by wiedział, co to takiego Łużyce. Ale choć Łużyczan jest niewiele, to przecież są. I o tym właśnie, o ich walce tysiącletniej powinni się dowiedzieć wielcy politycy wielkich mocarstw. Bo granice państw nie rodzą się na posiedzeniu czy ostatecznej konferencji przy złożeniu podpisów pod wykończony już traktat. Poczynają się o wiele wcześniej — w rozmowach kawiarnianych i przy kieliszku szampana. I dlatego już teraz powinno się przyzwyczaić mężów stanu do Budziszyna, a nie do Beutzen, do Łużyc, państwa niepodległego a nie do Lausitz, niemieckiej prowincji.

Jeżeli ktoś czyni już coś w tej dziedzinie to Czesi i... Niemcy. Niemcy, których wysoko rozwinięty zmysł polityczny, wyczuwa niebezpieczeństwo oderwania Łużyc od Rzeszy. Toteż Niemcy już teraz starają się zapobiec temu, majoryzując Łużyczan. Wykorzystują przy tym nieświadomość władz okupacyjnych, które traktują Łużyczan, jak rodowitych Niemców. Czesi zaś przyszykowali projekt wielkiego państwa łużyckiego. Nie tylko z Budziszynem i Zytawą, nie tylko z Kottbusem i Sprembergiem, ale ze Zgorzelicami i Lubaniem, z Nysą płynącą przez ten kraj. I oczywiście pod protektoratem czeskim. To jest naciągnięty plan. Nie dlatego, że dotyczy Polski, bo z tym damy sobie radę, ale dlatego, że obejmuje tereny czysto niemieckie. Z Łużyc trzeba będzie także wysiedlić Niemców. Po wsiach i miasteczkach będzie ich niewielu. Z miast większych, jeśli leżą na terenach etnicznych łużyckich, będą musieli wyjść. Z Görlitz i Zittau także — ze względów strategicznych. Ale wysiedlić Niemców z terenów czysto niemieckich, jak Cottbus czy Spremberg, to będzie stworzenie kraju o gęstości zaludnienia 8 czy 10 ludzi na km kw.! Nie przesadzajmy w cyfrach. Nie mówmy — półmilionowy naród łużycki. Jeżeli będzie ich 200.000, prawdziwych, niezniemczonych Łużyczan — to dobrze. Nie myślmy o wielkim państwie łużyckim. Postarajmy się o niewielkie, zgodnie ze stanem etnograficznym, ale własne, łużyckie. Postarajmy się, aby powstało. Przedstawicielka Łużyczan zażądała od ONZ stworzenia niepodległego państwa łużyckiego w oparciu o Polskę lub Czechy. Rozpoczęły się niedawno pertraktacje z Czechosłowacją. Niech wśród wielu innych i sprawa łużycka znajdzie się na stole obrad, niech obydwa państwa słowiańskie dojdą do porozumienia i na tym polu, aby wspólnie poprzeć i wspólnie wspomóc swych upośledzonych braci. Wspólnie teraz i wspólnie po ich uniezależnieniu się.

Gospodarczo — utrzyma się kraj, który ma niewspółmiernie duże w stosunku do swego obszaru bogactwa mineralne i rozwinięty przemysł. Kulturalnie — utrzyma się naród, który przez 1000 lat trwał, choć malał liczebnie i nie zginął mimo systematycznej, planowej i stałej akcji germanizacyjnej. A politycznie — polityczne stanowisko umożliwi mu ścisły kontakt i współpracę z Czechosłowacją i Polską.

A wtedy — przez miedzę o krok będziemy mieli niewielkiego co prawda, ale pewnego przyjaciela. Niewielkiego, ale przecież słowiańskiego.

Wracamy do Ojczyzny

Umundurowani byli w kuse, obce uniformy z niezmiennym „Poland" na rękawie. Salutowali z angielska — całą dłonią i następnie łapczywie przyglądali się, w jaki sposób ukłon się odda i jeszcze na orzełka na czapce — czy rzeczywiście bez korony.

Oddawałem ukłon oczywiście dwoma palcami — błyskało im w oczach wtedy coś na kształt rozczarowania, czyżby się spodziewali, że podniosę w górę pięść... Spotykało się ich wszędzie... w kinie, na ulicy, w kolei podziemnej, w restauracji, na wszystkich drogach, jakimi by się nie chodziło po wielkim przymglonym Londynie. Nie wszyscy decydowali się na to, by podejść i zapytać się zawsze o to samo: co słychać w kraju?

Takich, którzy pytali, było jednak sporo i... rozmaitych.

Ci, którzy przebywali w obozach repatriacyjnych, pytali rzeczowo o interesujące ich sprawy i byli zorientowani chociaż na ogół słabo w stosunkach panujących w kraju.

Inni byli „niezdecydowani". Ci uśmiechali się sceptycznie, ponieważ czytywali rewelacje o Polsce w: „Dzienniku polskim" i „Dzienniku żołnierza". Nastawieni negatywnie do tego co demokratyczne (wymawiali to z przekąsem), skłaniali się do powrotu, gdyż więzi łączącej ich z Polską nie była w stanie przeźreć propaganda Andersa. Trudno im było pomimo wszystko wyrwać się z kieratu codziennych zajęć i przyzwyczajeń pięcioletniej służby.

Pewnego wieczoru na stacji underground'u spotkałem czterech marynarzy polskich. Dziwne były koleje ich losu. Byli to powstańcy warszawscy ze zgrupowania majora „Roga". Przebyli piekło Starego Miasta i udrękę hitlerowskich „kacetów". Ucieleśniali obecnie swe młodzieńcze marzenia — pływali po oceanach.

Nie chcieli wracać. Mówili, że w kraju musi się coś zmienić. Powtarzali stare, wyświechtane i tłuste od drukarskiej farby „Dziennika polskiego" frazesy o okupacji sowieckiej, kręcili gdy wykazywałem im ich nieświadomość. Cóż, nieźle płacą w marynarce angielskiej, a w kraju bieda.

Edynburg jest miastem wykutym w szarym kamieniu pagórków Szkocji. Miastem o wydeptanych odwiecznie kamiennych płytach chodników w przejściach pomiędzy domami. W tym mieście płynie po omszałych, zielonych głazach cudowny gadatliwy potok a w ogrodzie u stóp uwieńczonej zamczyskiem góry gra w niedzielę szkocka kraciasta orkiestra—gra do tańca.

W samym Edynburgu i w okolicy stacjonuje wiele jednostek polskich. Wieczorami pod pomnikiem Wellingtona (Polacy nazywają go Książę Józef z racji podobieństwa do tego warszawskiego pomnika) spacerują bezcelowo na pozór grupki żołnierzy i cywilów. Tu handluje się rozmaitymi rzeczami i w sposób zdolny przyprawić przeciętnego Anglika o apopleksję lub co najmniej o zawrót głowy.

Ciekawej rzeczy dowiedziałem się w Edynburgu. Wyspa brytyjska jest podzielona mianowicie na dwie strefy: północną i południową. Żołnierzom polskim (nie wiem jak jest z angielskimi) nie wolno bez zezwolenia przenosić się w jakimkolwiek celu z jednej strefy do drugiej. Tu w Szkocji przebywają żołnierze - pewniacy, ci, którzy nie chcą powracać do kraju. Tu w Szkocji tworzy się oddziały specjalne szturmowe i kto jeszcze wie jakie, szumnie nazywane np.: batalion czarnych koszul (sic!). Tu jeszcze nie zrezygnowano z dawnych dobrych wspomnień.

Pewien młody chłopak w berecie spadochroniarza z wizerunkiem spadającego orła na piersi szedł długi czas obok mnie, spoglądając w sposób zdecydowanie zbrodniczy na mą skromną osobę. Gdy wreszcie zdecydował zagadnąć mnie, zrobił to w sposób wielce arogancki. Stanął przede mną rozkraczony z założonymi na piersi rękoma, napierał na mnie brzuchem i zadał kilka prowokujących pytań. Sądzę, że był po prostu źle wychowany. Oświadczył, że jest narodowcem. Dałem mu do zrozumienia, że rozmowa nasza jest bezcelowa i po informacje skierowałem go do Biura Informacji Wojskowej, które właśnie zorganizował w Edynburgu zacny wielce człowiek, major Zackiewicz.

W owym biurze gadał mi do ucha charczącym szeptem przepojone nienawiścią słowa zwalisty górnik z zagłębia — plutonowy Z. Mówił o rekinach emigracji, o draniu dowódcy batalionu, o kościanych dziadach oficerach. Mówił, że zamknięto go w szpitalu dla umysłowo - chorych — na złość... Nie ulegało kwestii, że był chory psychicznie.

Ludzi załamanych psychicznie czy po prostu chorych umysłowo jest na emigracji wielu.

Dowódca jednego z obozów repatriacyjnych gęsto rozsianych w okolicach Oxfordu i Londynu, major M., twierdził, że ludzie nie są w stanie wytrzymać nerwowo długiego oderwania od kraju. A szczególnie łatwo załamują się w atmosferze oczekiwania na *wyjazd*.

— Dajemy im zajęcie. Organizujemy orkiestrę, chór, mamy kilka team'ów piłkarskich. Urządzamy zawody sportowe. Pomagamy w pracach rolnych. Żołnierze utrzymują wzorowy porządek w koszarach — sam pan zresztą zobaczy... Wszystko to dobre, ale kto wie jak długo będziemy w stanie tych ludzi utrzymać.

Armia inwazyjna dawno popłynęła na kontynent w płaskich łodziach desantowych, pozostały po niej baraki.

Z baraków tych robi się mieszkania dla bezdomnych na East End'zie. Baraki te służą za kwaterę polskim żołnierzom, którzy zadeklarowali swój powrót do kraju. Pomiędzy barakami w zrudziałej, zdeptanej trawie bielą się i czerwienią ułożone z okruchów cegieł i skorup napisy, orły a napisy są ciekawe: Niech żyje Rząd Jedności Narodowej. Wracamy do kraju. Niech żyje Marszałek Rola - Żymierski. I znów: Wracamy do Ojczyzny.

Ciężko z tym powrotem. W zatłoczonym baraku, gdzie prowadziłem z żołnierzami pogawędkę, rzucił ktoś przez zadymione powietrze pytanie: Wszystko rozumiemy... ale czemu polskie transportowce wożą angielskich jeńców z Dalekiego Wschodu do Anglii?

Nie wiem czy tak jest rzeczywiście. Nie wiem czy żołnierz ten miał rację. Wiem, że był chory, śmiertelnie chory na nostalgię.

Polska ludziom tym stawała przed oczyma w gorących piaskach północnej Afryki — fatą morganą. Wielka, tęsknota, której nikt z nich nie umiał wyrazić, żarła ich w dusznocie marynarskich kubryków na angielskich transportowcach i wśród skał Italii.

Wracałem z obozu po szeleszczących na ziemi bukowych liściach. Wokół drzewa cudnego lasu lśniły wilgotną korą. Drogę i dalekie pagórki tłumiła zwykła niebieska mgła.

Przypomniał mi się kamienny jak rycerska saga Edynburg i wiatr niezmiennie gwiżdżący w nadmorskich badylach i wtedy w obozie repatriacyjnym Nr 10 pod Oxfordem poczułem wielką tęsknotę za Ojczyzną.

Bohdan Czeszko.

Z wystawy prac malarskich Jerzego Mierzejewskiego

Jerzy Mierzejewski — autoportret

rzegląd wydawnictw

wa zeszyty (czwarty i piąty) Biura Stu- Osadniczo-Przesiedleńczych w Krakowie wia starannie opracowany dalszy ciąg ałów specjalnych, omawiających facho- agadnienia Ziem Odzyskanych.

treść zeszytu czwartego składają się na- ące prace: **Paweł Kozłowski** — Wytycz- ału ustawodawczego normującego formy unki obejmowania poniemieckich gospo- w rolnych na ziemiach zachodnich przez ych osadników. **Włodzimierz Borowski** — rzeczowa dla osadników—rolników, aw **Kłapkowski** — Pomoc kredytowa dla ików. **Józef Zajda** — Koreferat na po- y temat. **Józef Kubica** — Organizacja ictwa fachowego dla osadników — rol- **Rajmund Garbacik** — Spółdzielnie osad- .

eszycie piątym znalazły się publikacje **Rybickiego:** Możliwości zaludnienia odzyskanych osadnikami polskimi w gru- wodów pozarolniczych. **Stanisław Roga:** osło wiejskie jako niezbędny składnik ictwa rolniczego oraz **Wojciecha Stop-** : Związek funkcjonalny rzemiosła z ysłem jako zagadnienie w osadnictwie miejskiego.

ce Pawła Rybickiego charakteryzuje su- ość i trzeźwość w ocenie możliwości re- acyjnych ziem odzyskanych. W dziele zasadnicze znaczenie posiada nasycenie odzyskanych dostatecznie dużą ilością stawicieli polskich zawodów pozarolni- .

ieczność ta wynika jasno z samych liczb: we ziemie opuści prawdopodobnie pół- miliona lub niewiele więcej ludności rolni- niemieckiej, czy też całkiem zgermanizo- ej, natomiast jednocześnie musimy się z emigracją względnie wysiedleniem co niej 4,5 miliona ludności niemieckiej, przy- nej do zawodów pozarolniczych. Jeżeli yw rolników polskich na ziemie nowe minować będziemy na 1,5—2 milionów, to yw ludności pozarolniczej—przy uwzględ- możliwej jej redukcji — postulować my na około 3,5 miliona.

e nie tylko same liczby są ważne. Wsku- struktury zawodowej naszego społeczeń- i istnienia w nim wielkich i wyraźnych yżek tylko wśród ludności rolniczej, do- adzenie potrzebnych ilości do środowisk rolniczych na ziemiach nowych, przed- ia zadanie nierównie trudniejsze, aniżeli izacja rolnicza tych ziem. Dlatego słusz- można powiedzieć, że od rozwiązania wy osadnictwa pozarolniczego zależy tecznie, czy przyswoimy ziemie nowe i czymy je w jedną całość z polskim orga- em etnicznym.

danie, jak powiedzieliśmy, jest trudne. może, zostało ono utrudnione jeszcze z raczej bezładny i nie pokrywający się najmniej częściowo z celami osadnictwa yw ludności do miast w pierwszych mie- ach imigracji, przede wszystkim zaś przez zawsze celowy rozdział mieszkań, lokali, sztatów pracy. Pośpieszność akcji właści- niezorganizowanej i nieetyczne nastawie- niektórych grup ludzkich nie oddały tu rych usług sprawie osadnictwa miejskie- Trzeba zaś powiedzieć, że szczególnie ec ogromu zniszczeń na ziemiach nowych, ydział domów, mieszkań i warsztatów pra- est tam sprawa pierwszorzędnego znacze- ; jeżeli bowiem ziemie nowe mają przy- nać osadników poważnych i przedstawia- ych poziom kwalifikacji zawodowej, muszą ć możność dawania im odpowiednich wa- ków pracy i warunków bytu.

okolicznościowych i z zasadniczych wzglę- zagadnienie kolonizacji miejskiej napeł- wielu obawa. Słyszy się głosy powątpie- ia, czy możemy podołać zadaniu. Opiera- się na badaniach i rozważaniach nie są- my, by to było zadanie nie do spełnienia. z jest z tym zagadnieniem tak, jak bywa ielkimi, wyrastającymi w pewnych momen- zadaniami dziejowymi: albo uchylimy się ego właściwego rozwiązania, wówczas zaś podjęta akcja może w rezultacie załamać albo też potrafimy je ująć w należytej for- i dźwignąć i wówczas może stać się ono ynnikiem prawie nie dającym się przewi- ć rozwoju i postępu.

Tworzenie zatym wielkiej i silnej warstwy ności nierolniczej na ziemiach nowych nie ko spolszczy i trwałe Polsce przyswoi te mie; stanie się ono równocześnie czynni- em przebudowy naszej struktury społecznej. a rozumnie obliczonego programu w tej iedzinie są możliwości ludnościowe. Idzie to, aby przyjąć dobry kierunek działania i ałne formy organizacyjne".

Zaznaczyć wypada, że sprawy Ziem Odzy- anych znalazły wreszcie poważne i szczere względnienie na terenie fachowej publicysty- i.

Poziom wydawnictw Biura Studiów Osad- iczo-Przesiedleńczych w Krakowie istotnie dpowiada wadze zagadnień.

Feliks Bąbol.

Malarstwo Jerzego Mierzejewskiego

Nowootwarta wystawa prac młodego malarza Jerzego Mierzejewskiego wprowadza nas w bogaty i żywy świat plastyki. Tematem, który młodego malarza najbardziej interesuje, jest człowiek; Mierzejewski próbuje go charakteryzować w wielorakich płaszczyznach ekspresji malarskich.

Próby te idą zasadniczo w dwóch kierunkach.

Pierwszy dąży do postawienia i zorganizowania figury ludzkiej w sensie formy. Najbardziej charakterystyczną ilustracją tego momentu będą rysunki portretowe (ołówek), zdecydowanie linearne, z precyzyjnym uwzględnieniem waloru. Dołącza się tu jednak świadome założenie nie rozbijania formy światłocieniem.

Silna konstrukcja, linearne wydzielenie form, oto momenty, które izolują młodego artystę od tradycji postimpresjonizmu, więcej nawet: są nań zdecydowaną reakcją. Wspomniane rysunki stanowią najpełniejszy dotychczas wyraz temperamentu malarza; charakteryzuje je uczciwość i pewna suchość.

W pracach malarskich — założenia te ustępują mniej lub więcej na rzecz „ujęcia malarskiego"; linearność zatraca się łagodnie, forma już mniej wydzielona, koncepcja mniej sucha. Faktura malarska, rzut pędzla, nabierają zasadniczej wagi.

Są to najlepsze płótna Mierzejewskiego.

Chciałabym podkreślić łączność Mierzejewskiego w jego poszukiwaniach formy z pewnymi grupami młodych w Paryżu.

Będąc w 1937 roku w Paryżu zetknąłem się z grupą „Forces Nouvelles", którą kierował wówczas dwudziestosześcioletni Jean Lasne, laureat „Prix de Rome en Liberté" 37-go roku. Nagrodę tę otrzymał z rąk jury, złożonego między innymi z Picasso i Matisse'a.

Grupa ta zwalczała w młodzieńczym zapale impresjonizm i sztukę od niego pochodną, a nazwisko Bonnard'a było dla tych malarzy czerwoną płachtą. Ich stosunek do obecnej rzeczywistości malarskiej charakteryzują słowa: „Il n'ya que Picasso et Matisse — ce sont les seuls".

Linearność, dbałość o formę i konstrukcję łączy ich niewątpliwie z koncepcją Mierzejewskiego. A dalej: znaczenie w kompozycji twarzy i rąk, kolor lokalny, cień wydobyty walorem. I tam wkradał się ekspresjonizm i surrealizm, nieobce w pewnych momentach Mierzejewskiemu. Tylko barwy w grupie „Forces Nouvelles", gdzie wyłącznie panują ziemie, sienna i błękit, tworzą schemat nie do darowania w malarstwie, a powierzchnia obrazu nabiera charakteru ceraty przez staranne zacieranie śladu pędzla.

Właśnie w traktowaniu malarskim rozchodzi się Mierzejewski zupełnie z wspomnianą grupą, z którą łączy go tylko podejście rysunkowe, zagadnienie formy i ekspresji.

W ujęciu malarskim Mierzejewskiego, wyczuwamy wyraźnie ślady zdobyczy malarstwa francuskiego przełomu XX wieku, wpływy Cezanne'a (niektóre martwe natury i portrety). Temperament „malarza" kazał mu doszukiwać się — bardzo szczęśliwie — wszelkich możliwości wibracji kolorów i czerpać z rozmaitych źródeł.

Osiągnięcia te są jednak bardzo nierówne.

Mierzejewski nie osiągnął jeszcze dojrzałości na drodze swoich poszukiwań, chociaż jest bardzo świadomy wytkniętego celu. Wiele jego prac, cennych przez swe założenia i cel, to jeszcze nie rasowe malarstwo.

Pragnę tu zwrócić specjalną uwagę na obraz przedstawiający „grajka z mandoliną". Obraz ten zaciekawia swą dojrzałością i głębią. Należy do rzędu tych, których się nie zapomina. A to jest wiele.

Jeśli przyjrzymy się uważnie szczegółom, gdzie gatunek farby budzi skojarzenia z najlepszą sztuką, a potem przejdziemy do subtelnych szarości i szlachetnych granatów w ubraniu, aby w końcu ogarnąć całość, tonącą w głębokiej, złamanej gamie, przyznamy, że stoimy w obliczu obrazu w całym tego słowa znaczeniu, obrazu, którego zlekceważyć nie będziemy mogli, bez względu na kierunek czy upodobania.

Przejdźmy teraz do drugiej grupy: poszukiwań kompozycyjnych.

Koncepcje te zahaczają o impresjonizm. Malarsko bardziej suche i komponowane pod pewnymi wpływami surrealizmu (ekspresja, oszczędność środków), nie są jeszcze tak dalece sformułowane, aby na dłużej wiązać artystę.

Reprodukowana kompozycja, szlachetna w liniach i o dużym napięciu uczuciowym, to szczęśliwa próba w tej trudnej i ciekawej dziedzinie, jaką jest kompozycja figuralna.

Mimo tendencji do poszukiwania i wydobycia formy, musimy przyznać Mierzejewskiemu duże wyczucie koloru. Zwłaszcza ciemne gamy są często bardzo wytrawne i dobrze poparte czerniami i szarościami.

Sądzimy, że ten pierwszy zbiorowy pokaz prac w wolnej Polsce będzie wstępem do bogatej twórczości młodego malarza, pełnego wiary w to co czyni.

Teresa Tyszkiewiczowa

Jerzy Mierzejewski – Grajek

Jerzy Mierzejewski – Kopaczki

Jerzy Mierzejewski – Jabłka

Rozmaitości

Zła akustyka

Są lokale, w których słowo wypowiedziane rozlega się donośnie i jasno. Te lokale mają dobrą akustykę. Są inne lokale — tam słowo zanika, albo co gorsza dochodzi do ucha zniekształcone. Czasem wystarczy w takim lokalu zawiesić w odpowiednim miejscu drobny ciężarek na sznurku, aby poprawić złą akustykę. Niedawno marzyłem o tym, aby ktoś raczył zawiesić taki ciężarek w redakcji czasopisma „Wieś", było to w burzliwym okresie, kiedy każdy konkretny zarzut, sformułowany w „Kuźnicy" wywoływał w tej redakcji wielokrotną, rozproszoną, a dudniącą falę akustyczną. Kwestionowałem gwarę chłopską jako stałe zjawisko w poezji. Okrzyczano mnie wrogiem oddziału wiejskiego Z. Z. L. P. którego byłem inicjatorem i jestem niepoprawnym zwolennikiem. Ale moje marzenia widocznie się spełniły, zawieszono ciężarek prostujący akustykę i teraz tylko od czasu do czasu ktoś tam wystawia nam cenzurki z marksizmu. Raz to będzie jakiś Budzyk, znawca gwary, który wymyśla mi od „domorosłych marksistów", to znowu pewien sympatyczny wieśniak z Lublina, który klepie nas po ramieniu, że co prawda jesteśmy naiwni, ale przecież robimy postępy. Ciężarek akustyczny już wisi i pozostaje tylko jedno: przesunąć go na właściwe miejsce.

Są inne redakcje o takiej akustyce, że tuzin ciężarków nie pomoże. Wypisuje się pod adresem lewicy i „Kuźnicy", że ponoć groziła rewolucją literacką, a wcale tej rewolucji nie widać. Ani „Kuźnica" ani lewica nie groziła; od pierwszej chwili, jeszcze w czasach lubelskich szukaliśmy związków z tradycją, ostrzegaliśmy przed wymysłem proletariackiej kultury i chłopomańską egzaltacją. Tyle, że uważamy za rzecz konieczną przejrzenie, zrewidowanie pozycji literackich z lat międzywojennych. „Kuźnica" podjęła tę inicjatywę i miała ją rozwijać w ocenach poszczególnych książek, w ocenach po latach. Inicjatywa spaliła na panewce, okazało się, że nie ma komu pisać o książkach. Jan Kott podobno pisuje świetne artykuły o węglu (nie czytałem), a inni krytycy zajmują się tworzeniem własnych koncepcyj teorii literatury, zazwyczaj formułowanych w kilku wierszach druku. A tymczasem sprawa literatury lat międzywojennych obija się po czasopismach na wypaczonej fali akustycznej. Wyszło to jakoby z pamiętnego zjazdu literatów, który widocznie zapadł głęboko w pamięć, skoro wciąż powraca we wspomnieniu.

Zjazd literatów odbył się w solidnym, dobrze sklepionym gmachu, ale i tam, jak się okazało, akustyka nie była najlepsza. Po czterech referatach, w których padło raz jeden zdanie o epickich powieściach literatury rosyjskiej, usłyszeliśmy skargę przedwojennego lewicowca: „Nam tu opowiadają, że tylko literatura rosyjska jest coś warta"... Nikt przecież nie miał zamiaru takich rzeczy opowiadać. Była mowa o pewnych ideach i pewnych tendencjach, które znalazły ujście w faszyźmie i które po doświadczeniach wojny demokratyczni pisarze powinni w sobie zwalczać. I oto Jerzy Kornacki we wstępie do drugiego wydania „Poloneza" żali się pod wpływem fatalnej akustyki: „Na zjazdach pisarzy i na szpaltach czasopism chętnie a nieoględnie nazywa się dzisiaj literaturę polską śmietnikiem burżuazyjnym, a nawet czujnie ostrzega się Państwo, by młode polskie pokolenie chronić przed złym wpływem tamtych twórczych lat". Nie wiem w jakich czasopismach Jerzy Kornacki to piękne określenie literatury polskiej znalazł, bo nie czytuję dokładnie „Tygodnika Powszechnego" ani „Dziś i jutro", ani też „Odry". Nie spostrzegłem tak lekkomyślnego sądu ani w „Twórczości" ani w „Odrodzeniu", a mogę zapewnić Jerzego Kornackiego, że nic podobnego nie wyczyta w „Kuźnicy". Insynuacje swoje Kornacki ogłosił w książce i puścił w świat pod adresem lewicy, a tymczasem o burżuazyjnym śmietniku może mówić tylko człowiek, który ma w głowie śmietnik lewicowych frazesów. Jerzy Kornacki wyczytał i usłyszał to, co chciał wyczytać i usłyszeć. Jakaż fatalna akustyka panuje w tej sali! Szkoda w niej grać poloneza. Nikt nie pozbawi Kornackiego chluby, że jest współautorem jednej z nielicznych powieści zwracających uwagę na niebezpieczeństwo niemieckie, ale pocóż pasować się na obrońcę dwudziestu lat literatury polskiej przed urojonymi atakami? Bolesław Dudziński, sprowokowany przez Kornackiego, w wielkim artykule („Odrodzenie" Nr 6) dowodzi, że „Nie było tak źle" i wymienia dla przykładu 60 nazwisk literatów, których nie można uważać za „uległe narzędzia sanacji", zastrzegając się, że nie jest to lista wyczerpująca i ścisła. Wypadało by przesłać tę dziwaczną listę do Głównego Urzędu Statystycznego, może by tam się do czegoś przydała, ale w każdym razie nie do odpierania osądów dzisiejszej lewicy. Bo istotnie zarzuty dzisiejszej lewicy pod adresem literatury lat międzywojennych, nawet najsurowsze i nawet najbardziej uogólnione, nie dotyczą, jak chciałby Kornacki, poglądów i zainteresowań pisarzy, ale humanistycznej trwałości ich utworów, a ci, którzy te zarzuty stawiają, nie są Herostratesami ale tylko ludźmi bardzo zatroskanymi.

I tylko w złej akustyce można pomieszać ich głosy z głosami mętniaków.

ADAM WAŻYK.

Korespondencja

Do redaktora „Kuźnicy"

W „Odrodzeniu" (6) niejaki Ludwik Fen w Łodzi zamieścił nieładny list o Janie Kocie i naszych urzędnikach MSZ. Ponieważ ja także nazywam się Fen, to pomimo, że na imię mam Aureli i że mieszkam w Krakowie, ludzie posądzają mnie o ten brzydki kawał. Nie mam i nie chcę mieć nic wspólnego z Ludwikiem Fenem, który odezwał się na artykuł Kotta jak przysłowiowe nożyce. Jako rodzony stryj Ludwika Fena oświadczam, że jest to emerytowany bubek z przedwojennego MSZ, który chciałby się na utracone miejsce — uchowaj Boże! — dostać z powrotem. Zdradziło go zwłaszcza także charakterystyczne oburzenie na literata Kotta:

„Nie jest on taką znakomitością, aby ambasador R. P. w Londynie, a więc najwyższy reprezentant Polski w Anglii, miał być osobiście, w swoim prywatnym mieszkaniu, wieczorem, w sobotę, niepokojony — bo przyjechał Kott bez pieniędzy i noclegu!".

O ty cacany bubku z MSZ! O ty lizyhucie! Pomyślałbyś przedtem, że Kott czy nie Kott, przyjechał przecież literat wysłany przez Rząd Polski, członek delegacji na konferencję międzynarodową, że była to jedna z pierwszych ekskursji po wojnie, że jeżeli nie miał pieniędzy, to dlatego, że brak nam dewiz i wreszcie, że nasz ambasador jest ambasadorem demokratycznej i ludowej Polski. Inne są dla nas zwyczaje, niż za twoich bubkowatych czasów!

A dalej tenże mój bratanek Ludwik Fen natrząsa się z Jana Kotta, że dwukrotnie, jak sam opisuje w „Przekroju", naruszył obyczaje angielskie. A może to tylko dla żywości opisu autor wziął na siebie winy, których nie popełnił? Oj Ludwiczku, Ludwiczku nigdy nie grzeszyłeś bystrością, dlatego też przed wojną trafiłeś do MSZ. Twierdzisz, że Jan Kot postarał w Anglii nieładnie. Kocioł garnkowi przyganiał, a tyś tego garnka sadzał! Bo przedtem zamieszcza się artykuł, a potem autora artykułu szkaluje się w takich paskudnych liścikach.

Aureli Fen (Kraków)

Do Redaktora „Kuźnicy"

W związku z niezmiernie interesującym artykułem w Nr 5 „Kuźnicy" o „publicystyce „Proletariatu" pragnę zwrócić się do Szanownej Redakcji z prośbą, jak myślę, nie tylko we własnym imieniu.

Młodzi pracownicy naukowi i miłośnicy wiedzy niesłychanie przykro odczuwają ciągły brak u nas fachowych czasopism humanistycznych. Utrudnia to przede wszystkim zbieranie informacji bibliograficznych i wskazówek dotyczących źródeł.

Jedyne dziś pisma, które przynoszą artykuły interesujące młodych historyków — to tygodniki społeczno - literackie.

To też myślę, że słusznym i społecznie cennym byłoby niepomijać informacyj bibliograficznych przynajmniej w tych artykułach, które poruszają tematy nowe i mało zbadane. Dzieje ruchu robotniczego w Polsce u schyłku XIX wieku — to terra incognita.

Podstawowe badania w tym zakresie zawdzięczamy dr Zannie Kormanowej, która wyniki swych źródłowych poszukiwań publikowała przed 1939 rokiem w „Kronice ruchu rewolucyjnego" i w „Niepodległości". Myślę, że wielu jest młodych miłośników historii, którzy radziby sięgnąć dalej zainteresowani artykułem p. Eilego — i dla nich należałoby wskazać wyraźnie na prace dr. Kormanowej.

Nawiązałem w swoim liście do tego szczegółowego przypadku, który mnie zainteresował, sądzę przecież, że można ten dobry, pożyteczny zwyczaj stosować częściej. Zwłaszcza w „Kuźnicy", która zazwyczaj w swoich artykułach historycznych porusza tematy dotąd zaniedbywane w naszej historiografii.

Dr. B. Jasiński (Toruń)

Jeszcze w sprawie reformy szkolnej

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że reforma szkolna od jakiegoś czasu znalazła się w głębokim impasie. — Wielki jej rozmach przypada na okres kadencji ministra Skrzeszewskiego, zaś jego wyrazem były intensywnie prowadzone prace w specjalnych komisjach programowych. — Na zewnątrz ujawniło się to w imponującym sejmie oświatowym, odbytym w Łodzi przy współudziale licznych fachowców, przedstawicieli organizacyj społecznych i zawodowych — w ich liczbie przede wszystkim przedstawicieli ZNP. — Już wtedy zarysowały się pewne różnice między projektem rządowym a planami Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Ministerstwo postanowiło wypracować programy według koncepcji, która z jednej strony dawała jednolitą i zwartą całość programową, z drugiej zaś wypełniała doniosły społeczny postulat, który dążył do upowszechnienia wiedzy systematycznej (gimnazjalnej) w ramach 8-mio letniego obowiązku szkolnego. — Zanim jeszcze uczestnicy Zjazdu łódzkiego zdążyli się rozjechać do siebie, zaszła zmiana na stanowisku Ministra Oświaty.

Czy tu leży przyczyna tego, iż o reformie szkolnej się milczy, że istotnie nie wiadomo co z nią się naprawdę dzieje i jakie będą jej losy? — Sytuacja domaga się wyjaśnienia kwestii spornych, bo inaczej nie da się wyprowadzić reformy szkolnej na właściwe tory i ciągle jak najdalej będziemy od jej realizacji.

Teza przeciwników reformy były taka: nie można wtłaczać programu gimnazjalnego w ramy przyszłej 8-mio letniej szkoły powszechnej, gdyż sprzeciwia się to zasadom pedagogicznym, opartym na dotychczasowej wiedzy o rozwoju psychicznym dziecka. — Gdyby chcieć wprowadzić ten program, okaże się on nierealny i zaprzepaści słuszne założenia reformy. — Argument nie byle jaki. Warto się nad nim zastanowić.

Cóż takiego orzeka współczesna wiedza o rozwoju psychicznym dziecka i czy wyroki jej istotnie są nieodwołalne?

Wedle dotychczasowych badań życie psychiczne dziecka odpowiada głębokim przemianom fizjologicznym, które wyznaczają trzy następujące okresy rozwojowe:

1) do 6–7-go roku życia polega na rozwijaniu się zdolności reagowania na bodźce świata zewnętrznego. — Szkoła otrzymuje w wielu wypadkach materiał najzupełniej surowy i musi go przede wszystkim obrabiać, doskonalić.

2-gi okres, od 7-go do 13 i 14-go roku życia charakteryzuje się tym, że dziecko objawia żywe zainteresowanie rzeczami konkretnymi, z czego wynika konieczność oparcia nauczania na doświadczeniu i metodzie poglądowej.

3-ci okres: od 13–14-go roku życia związany z dojrzewaniem płciowym u chłopców (dziewczęta mają to później) cechuje się szczególną wrażliwością i ruchliwością umysłu, które objawia się w stale rosnących zainteresowaniach oderwanych — od prostych do coraz bardziej złożonych.

Ponieważ do 13-go roku życia dzieci interesują się tylko konkretną formą rzeczy, wniosek stąd oczywisty, że w tym czasie nie jest możliwe nauczanie systematyczne. — Jedynie tylko dwa ostatnie lata 8-mio letniego obowiązku szkolnego (14-ty i 15-ty rok życia) nadaje się na podawanie wiedzy gimnazjalnej, więc — oczywiście mogą tu wchodzić w rachubę tylko dwie najniższe klasy gimnazjum.

Wystudiowanie rozwoju fizjologicznego dziecka istotnie wyznacza wyżej przytoczone studia, nie mniej jednak ścisłe wiązanie z tym rozwoju psychicznego nie wytrzymało próby ostatnich doświadczeń. — Jak wiadomo, psychologia eksperymentalna stwierdza, że wbrew etapom fizjologicznym zdolność dzieci do pobierania wiedzy systematycznej należy przenieść na około 10-ty rok życia. — Już wtedy bowiem zaczyna dojrzewać zdolność do uogólniania, już wtedy dziecko potrafi wznieść się ponad konkretną formę rzeczy. W związku z tym początek drugiego szczebla nauczania przesunięty został na 10-ty rok życia w Anglii, Francji, we Włoszech, w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. W krajach tych szkoła średnia oparta jest na 4-ro względnie 5-cio letniej podbudowie szkoły powszechnej.

Wynika stąd, że podstawy, na których opierały się tezy przeciwników reformy są raczej kruche i niepewne. Ale to jeszcze nie wszystko.

Niezależnie od takich czy innych etapów rozwoju psychicznego dziecka żyjemy w czasach kiedy nie możemy narzekać na brak wrażeń. Życie nie skąpi tych wrażeń także i dzieciom. Już po wielokroć to obserwowano i naprawdę odpowiada rzeczywistości fakt, szybszego dojrzewania młodych generacji wojennych. Zjawisko to jeszcze bardziej utwierdza w przekonaniu, że przesunięcie granicy drugiego szczebla nauczania o wiele przed 13–14-ty rok życia jest nie tylko możliwe, ale nawet konieczne. Jednakże i to jeszcze nie wszystko.

Nowo rozpoczęta epoka prowadzi do uspołecznienia wszystkich przejawów naszego życia. Jest to prąd życiowy — wprost rewolucyjny. Należy się spodziewać, że wychowane w tej atmosferze dzieci będą rozwijały się szybciej niż było możliwe przed wojną. I znów przemawia to na korzyść przesunięcia granicy drugiego szczebla nauczania o wiele przed 13–14-ty rok życia.

Wszystko to zmierza ku jednemu: upowszechnienie gimnazjum i kształcenia systematyczne w ramach trzech najwyższych klas 8-mio letniej szkoły powszechnej nie sprzeciwia się wynikom osiągniętym, przez współczesną psychologię eksperymentalną i opiera się na trafnej ocenie wpływu obecnej epoki (powojennej i rewolucyjnej) na rozwój psychiczny dziecka.

Postawa przeciwników reformy szkolnej była wyrazem obawy, że urzeczywistnienie nowej reformy szkolnej napotka na nieprzezwyciężone przeszkody. Merytoryczna część argumentów wysnutych z wiedzy o rozwoju psychicznym dziecka — jak widzieliśmy — nie wytrzymuje krytyki. Tym niemniej jednak ich obawy są słuszne. Reformy szkolnej istotnie od razu realizować się nie da. Składa się na to wiele bardzo ważnych przyczyn których usunięcia tak prędko się spodziewać nie można. Wprawdzie w ciężkich warunkach wojennych dzieci wyprzedziły w rozwoju psychicznym swój wiek conajmniej o rok, czy nawet dwa lata, ale za to cofnęły się o 2–3 lata w wykształceniu. Jest to rezultatem polityki „oświatowej" okupanta. Obecnie mamy poza tym wiele innych trudności. Brak budynków szkolnych, brak nauczycieli, masowa gdzie niegdzie ucieczka nauczycieli z zawodu, duży, bo sięgający nieraz 40-tu, odsetek niewykwalifikowanych sił nauczycielskich, ciągle jeszcze bardzo poważny procent szkół niżej zorganizowanych, duża, setek tysięcy sięgająca masa dzieci w ogóle poza szkołą, grubych kilkadziesiąt tysięcy kompletnych sierot w wieku szkolnym, fatalny miejscami stan zdrowotności — a przy tym wszystkim brak pomocy szkolnych, brak podręczników i książek, zniszczenie bibliotek szkolnych, miejscami złe warunki bezpieczeństwa, bieda szerokich rzesz nauczycielskich — jakże w tych warunkach myśleć o upowszechnieniu wiedzy systematycznej, o podniesieniu ogółu na wyższy stopień kultury, niż to było przed wojną.

Mimo tego wszystkiego nic nas nie upoważnia do pesymizmu ani tym nie mniej do rezygnacji. Planowanie reform w skali historycznej nie może być uzależnione od przejściowych, choćby najbardziej ciężkich warunków powojennego życia. Trudno się jednak z tymi warunkami nie liczyć.

Jakież wypływają stąd wnioski? Reforma szkolna, rozpoczęta z takim rozmachem przed miesiącami, jest celowa i konieczna. Trzeba jednak wyraźnie oddzielić dwa tory jej realizacji. Z jednej strony trzeba dążyć do stworzenia warunków, których istnienie przyjęto za podstawę opracowanych programów, z drugiej zaś należy programy te wprowadzić w życie wszędzie tam, gdzie te warunki zostały już osiągnięte. Na początek więc tylko i wyłącznie w szkołach wysoko zorganizowanych, o dobrze przygotowanym personelu nauczycielskim. W sprawie reformy rolnej posługiwaliśmy się dotychczas techniką rewolucyjnych przemian społecznych i gospodarczych, które w jednym dniu przekreślają stary porządek i budują nowy. Uzyskiwane na tej drodze rezultaty przewyższały swym ogromem uboczny produkt każdej rewolucji, jakim jest dezorganizacja produkcji i wielkie naraz zniszczenia.

Niemniej jednak osiągnięcia są tak rozstrzygające dla nowej struktury społecznej i gospodarczej, że warto było tę cenę zapłacić. Rewolucja oświatowa musiałaby mieć jednak bilans wręcz odwrotny. Reforma szkolna nie da się zrealizować z pożytkiem całkowicie w trybie rewolucyjnym. Będzie z dużą korzyścią dla sprawy, jeśli ją przeprowadzimy rewolucyjnie w zakresie przebudowy ustroju i programów, zaś wielki trud realizacji rozłożymy na wszystkie konieczne stadia, związane z możliwościami, jakimi konkretnie dysponujemy w terenie.

To jest droga jedyna. Dlatego też trzeba jak najprędzej opracować programy na okres przejściowy dla tych szkół, które jeszcze nie posiadają odpowiednich warunków dla przyjęcia nowych treści nauczania. Równocześnie należy roztoczyć troskliwą opiekę instruktorską nad szkołami wysoko zorganizowanymi, które staną się terenem surowego egzaminu wypracowanych programów, poddanych konfrontacji z konkretną rzeczywistością szkolną.

Czas ruszyć z miejsca sprawę reformy. Więcej niż dziwnym jest bowiem, że poniechanie prac realizacyjnych w terenie przez władze oświatowe zdaje się świadczyć o zwycięstwach przeciwników reformy — mimo, że ich stanowisko zostało odrzucone przez większość naszych oświatowców na Zjeździe Łódzkim a powtórnie rozważane w tym artykule argumenty nadal nie wytrzymają krytyki.

Stanisław Matejczyk

PRZEGLĄD PRASY

Nowy, tegoroczny numer (1) miesięcznika „Twórczość" przynosi kilka interesujących utworów literackich. Najciekawszym z nich niewątpliwie jest opowiadanie Jarosława Iwaszkiewicza „Bitwa na równinie Sedgemoor". Poprzedzone krótkim słowem wstępnym autora, opowiadanie to zawiera w sobie opis „ostatniej bitwy na wyspie brytyjskiej". W dziale utworów dramatycznych znajdujemy dokończenie „Stanisława i Bogumiła" Marii Dąbrowskiej oraz fragmenty dramatu Świrszczyńskiej „Śmierć Orfeusza". Temat antyczny jest zapewne tylko pretekstem dla autorki, która chce pokazać „sprawy wieczne". Sięganie do tematyki antycznej jako pretekstu było przed wojną zjawiskiem dość powszechnym. Pamiętamy sztuki Cocteau, Gide'a, Giraduoux – wszystkie one były pseudonimem dla „spraw wiecznych", których wymienieni autorzy nie chcieli umiejscawiać w czasie i przestrzeni nam współczesnej, gdyż musieliby wówczas wyciągać wnioski, których tak bardzo unikali.

Takim samym unikaniem bezpośredniego zetknięcia z historią są dialogi Jana Parandowskiego: „Spotkanie wśród gwiazd". Dywagacje historiozoficzne wypowiadane przez Cezara i Cycerona są zapewne również próbą przebrania myśli o współczesności w antyczne togi.

Dlatego też ze wszystkich pozycji antycznych, lub z antykiem związanych, a takich naliczyliśmy w bieżącym numerze „Twórczości" aż cztery, największe zainteresowanie wzbudzą zapewne przekłady Witolda Klingera z „Epigramatów" Platona i przekład Artura Sandauera z VI i XI Sielanki Teokryta. Przekład Klingera jest przekładem filologa, przekład Sandauera – przekładem poetyckim. Jako pewne novum wprowadza Sandauer glossę, wyjaśniającą treść sielanki w formie nie suchej, filologicznej, lecz literackiej. Dział poetycki „Twórczości" wypełniają wiersze Tadeusza Gaycy i Romana Bratnego. Gaycy reprezentuje t. zw. szkołę warszawską. „Do potomnego" jest to wiersz podchwytujący niektóre właściwości dawnych wierszy Czesława Miłosza. To samo obrazowanie, te same perfidnie naiwne rymy, te same sprawy i ta sama surowa bezradność. Bardziej krzykliwie i niewątpliwie gorzej z tych samych elementów buduje swoje wiersze Bratny.

Jak zawsze w „Twórczości" tak i w tym numerze obficie reprezentowany jest dział sprawozdań, który tym razem poświęcony został całkowicie recenzjom z bieżących wydawnictw, zarówno prozy jak i poezji.

Rozprawa Konstantego Grzybowskiego „W klimacie hitleryzmu" zawiera mnóstwo interesujących danych, mało znanych w Polsce, a dotyczących prekursorów moralnych niemieckiego faszyzmu. Wydaje się nam jednak, że Grzybowski przecenia znaczenie mitów, utrwalonych w mentalności mieszczaństwa niemieckiego, że za mało podkreśla niejednolitość społeczeństwa niemieckiego, które przecież tak jak i wszystkie społeczeństwa krajów kapitalistycznych nie tworzy monolitu. Autor mówiąc o prężności doktryn, przy pomocy których burżuazja niemiecka usiłowała ratować swoje zagrożone pozycje przed nadciągającą rewolucją, za mało może uwidacznia podłoże, na którym doktryny mogły się wreszcie zrealizować: słabą, pseudoreformistyczną, weimarską republikę.

„Dziś i Jutro" w nr 6 przynosi m. inn. wiersz Andrzeja Łomienia-Trzebińskiego: „Wymarsz Uderzenia". W wierszu tym w strofie drugiej czytamy: „Imperium gdy powstanie to tylko z naszej krwi". Przypuszczając, że wiersz ten pisany był zapewne w okresie walk z okupantem, konstatujemy ze zdziwieniem, że wśród ludzi walczących o własną wolność i niepodległość mogły istnieć tendencje „Imperium". Cały klimat tego wiersza, nieomal mistyczny, świadczy o niezdrowej atmosferze politycznej, w jakiej powstawała „poezja warszawska".

Obserwujemy prawie we wszystkich pismach obozu katolickiego próby galwanizowania t. zw. „poezji warszawskiej" z lat okupacyjnych. W „Dziś i Jutro" (nr. 5) znajdujemy wiersze Gaycego, Stroińskiego, Bojarskiego, w „Życiu Literackim" nr. 1–2 spory artykuł Romana Bratnego, poświęcony grupie poległych przeważnie w powstaniu warszawskim poetów. Poezja ta która niewątpliwie ma wartość dokumentu jest obecnie równie anachroniczna jak i poezja reprezentowana przez grupę młodzieży literackiej krakowskiej, której próbki podało nam w nr 5 „Odrodzenie".

Poeci warszawscy usprawiedliwieni są w pewnym sensie i swoim określonym bardzo stanowiskiem politycznym i wzorami, po które sięgali i czasem w którym te wiersze były pisane. Natomiast młodzież krakowska w osobach Jęczalika, Kubiaka, Szymborskiej, Włodka, powtarza jak echo zdobycze awangardy z przed lat dwudziestu. Zdawałoby się, że poeci debiutujący po tej wojnie, w warunkach odmiennych niż te w których powstawała t. zw. poezja warszawska, nie zamkną się w wąskim, dusznym pokoiku cudzych form, że stworzą poezję ludzką, opartą o tradycje pełnowartościowego humanizmu. Wydaje się nam, że zarówno dzisiejsza „awangardowość" młodych poetów jak i wczorajszy „katastrofizm" i metafizyka grupy warszawskiej, to te same objawy sięgania po najbliższe i najbardziej w danym okresie efektowne wzorce.

Z przykrością natomiast przeczytaliśmy artykuł o „grupie warszawskiej" pióra Romana Bratnego w „Życiu Literackim" (nr 1–2). P. Bratny nie mogąc widocznie doczekać się pochwał oficjalnej krytyki, postanowił napisać sam o sobie i w artykule „Epoka?" zamieścił m. inn. charakterystykę samego siebie, zaczynającą się od słów: „Bratny – Ten inaczej", a potem cytuje p. Bratny konspiracyjnego krytyka. Jaka szkoda, p. Bratny, że nie miał pan cierpliwości poczekać jeszcze trochę, żeby to nie pan sam lecz ktoś inny o panu pisał!

Wracając do spraw poważnych notujemy interesujący konkurs, rozpisany przez „Wieś" w nr. 5 tego pisma. Konkurs ma na celu zebranie opinii na temat: Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś? Wyniki tego konkursu będą zapewne wielce instruktywne nietylko dla „pisarzy chłopskich", lecz i dla ogółu pisarzy polskich, którzy muszą sobie zdawać sprawę z tego, że wobec gwałtownej emancypacji wsi, następującej w miarę podnoszenia się poziomu jej struktury ekonomicznej, wieś stanie się poważnym konsumentem literatury.

W nr. 3 „Odry" Artur Maria Swinarski w artykule „Teatr bez kurtyny" daje krótki przegląd rozwoju współczesnego teatru realistycznego od Meiningeńczyków do rosyjskich koncepcji Meyerholda, Tairowa, po to, by przystąpiwszy do sprawozdania z widzianych przez siebie spektaklów teatrów praskich, dojść do wniosku, że „teatr rosyjski ogarnął sceny czeskie swym błogosławionym wpływem". Dowiadujemy się z artykułu Swinarskiego, że w teatrze „Wiatrak" grano sztukę, „gdzie widz przez otwór sceny zagląda do takich otchłani i patrzy w takie mroki, że może dostać zawrotu głowy". Sztuka ta ma być „piekielną satyrą na starą Rosję". Wydaje się nam, że na scenach rosyjskich od dłuższego czasu zrezygnowano z teatru, w którym aktorzy sami przestawiają dekoracje, lub który pełen byłby „żywiołowej teatralności", tak pociągającej autora artykułu. Zrezygnowano na rzecz takiego interpretowania sztuki, by widz nie dostawał właśnie „zawrotu głowy", lecz przeciwnie, by dokładnie rozumiał to, co widzi i słyszy. Dlatego z uporem wypadnie nam powtarzać, że Swinarski zachwala ekspresjonizm w teatrze. Ekspresjonizm bowiem (cytuję definicję Schmidta wg. „Słownika filozoficznego") to „przedstawienie subiektywnych nastrojów i uczuć bez względu na „obiektywne" lub konwencjonalne wartości, sądy, prawdy". A więc rzecz w teatrze bardzo możliwa, jak widzimy z artykułu Swinarskiego!

ph.

Nasi zagranicą

Wiele można się nauczyć obcując z ludźmi i książkami w krajach, które wojna na tyle oszczędziła, że zostawiła im nienaruszone pracownie i biblioteki.

Zdawałoby się, że skorzystają z tego tak bardzo godnego zazdrości przywileju nasi wrześniowi emigranci.

Ewolucja nauk humanistycznych, która dokonała się w ciągu ostatniego 50-lecia spowodowała, iż zespół dyscyplin szczegółowych objętych tą nazwą wyraźnie postąpił na drodze osiągania poprawnych, empirycznych wyników.

Zwrócił mi uwagę prof. Ułaszyn, że nawet księża dziś właśnie nauki humanistyczne uważają za szczególnie groźne dla siebie. Inaczej niż kilkadziesiąt lat temu, kiedy wszelkim intuicjonizmom, fideizmom i przesadom groził rozmach przyrodoznawstwa. Na tym odcinku kler uważa sytuację za opanowaną. Natomiast narasta niebezpieczeństwo krytycyzmu od strony pozycyj humanistycznych. Ostatnio etnologowie i socjologowie nauczyli nas patrzeć trzeźwo i krytycznie na każdy przejaw życia obyczajowego ludzi, historycy nauczyli bez mistyki „ducha czasu", „charakteru narodowego" i „misji dziejowej" pojmować dynamikę kultury i jej swoiste prawa. Logicy i semantycy ustalili kryteria myśli naukowej i nauczyli odróżniać ją ściśle od wszelkiej poza-naukowej aktywności intelektualnej.

To wszystko dokonało się w rezultacie długiej dyskusji teoretycznej najpierw z pozytywistami, poczem ze szkołą Dilthey'a, potem z socjologizmem Durkheima. Utwierdziło przez potężny renesans materializmu dziejowego. Dokonało się w rezultacie intensywnych poszukiwań empirycznych wielu uczonych badających człowieka od wysp Oceanu Spokojnego i ich krajowców – aż po nasz ląd najbardziej złożonymi przejawami cywilizacji nowoczesnej. Oczywiście wyniki tych badaczy poddawane były i są kontroli, są sporne zarówno w swych podstawach, jak często i we wnioskach. Ale statystycznie biorąc błędów jest coraz mniej. Rośnie gmach wiedzy empirycznej o człowieku. Coraz lepiej wiemy, co to dokładnie znaczy empiryzm. Zdobywamy podstawy dla trzeźwych, uczciwych uogólnień. Dla naukowych filozofii kultury.

Ale nasi zagranicą tego wszystkiego nie zauważyli.

Uczą się. Owszem. Ale u pokątnych znachorów. Na łamach swoich emigranckich czasopism wydają lekcję.

Chcę wskazać na przykład szczególnie symptomatyczny.

Znany u nas przed wojną literat i uczony anglista p. Z. Grabowski pisze studium o Arturze Koestlerze. Traktuje go jak wybranego mistrza, mistrza swego pokolenia, epoki.

Pan Koestler jest rozczarowanym komunistą. Ale nie to w nim ceni Grabowski. Nie to, że wyrzekł się komunizmu. Ceni w nim elementy pozytywne, to wszystko w co Koestler teraz wierzy.

Koestler oszalały drobne mieszczanin z upodobaniem waży trupa naszej epoki, jak jakaś wiedźma z Makbeta. Pan Grabowski rozkoszuje się tym. Wszystko ginie, Apokalipsa! Katastrofa!

Ale cytujmy Grabowskiego:

Książki Koestlera: „Jak wszystkie wielkie spowiedzi literatury są wyznaniem rozczarowania". „Cynizm" Koestlera jest wytworem straszliwej porażki idealisty.

Według Koestlera „Patrzymy na schyłek dawnej kultury, nie mamy w sobie ani odwagi, ani rozmachu do stawiania zrębów nowej. „Idą czasy niewoli myśli, panowania gromady, przemocy państwa. Wolna myśl musi uciekać do klasztorów". „jesteśmy wytworami rozkładu renesansu, pozostałościami doby odrodzenia, niejako „„tłucze się w Koestlerze tęsknota za nowym średniowieczem".

Nowe średniowiecze? Jakże znamy ten motyw z „twórczości" białych emigrantów rosyjskich! I czarnych kleryków po wszystkich zaściankach Europy od Madrytu do Krakowa.

Nowe średniowiecze to kierunek i cel. „Nie byłoby dziwne, mówi Grabowski, gdyby Koestler skierował swe kroki ku mistyce". Jaki jest program Koestlera? Oddajmy jak stale głos entuzjastycznemu wyznawcy Grabowskiemu! „Yogi pociąga go„ albowiem znajduje wyjście z przeklętego koliska czynu „„albowiem wyrzeka się tych wszystkich atrybutów człowieka, które wiodą do walki, sporu". Ceni jednak lotnika walczącego z hitleryzmem o Anglię, gdzie spokojnie pisze. Tym Koestler góruje nad Grabowskim.

Ten ostatni znajdzie Koestlerowi jednak i drugi przedmiot sympatii obok kontemplacyjnego mnicha buddyjskiego: „woli pułkownika Blimpa (brytyjski symbol wszelkiego fajfłajstwa i kołtunerii) od komisarza" (sc. działacza reformatora, radykała). Koestler najbardziej ceni według naszego informatora „wolę świętości". Bo „Koestler zdaje się dochodzić do wniosku, że zbawienie naszego ginącego świata leży jednak w odnowieniu samego rdzenia myśli i serca, w głębokiej przemianie „od wewnątrz" i że to czego potrzeba naszej epoce, to„ święci i„ mistycy".

Jakiż rozbrat z nurtem racjonalnej, empirycznej zachodniej myśli. Myśli, której aktualnym świadectwem jest choćby referowany w „Kuźnicy" francuski ruch nowej encyklopedii, rządząca rola logicznego neopozywizmu w Anglii.

W całym dorobku myśli zachodniej, p. Grabowski umiał znaleźć tylko takiego oszalałego mieszczucha, przeżuwacza zbankrutowanych koncepcyj. Jakże omszałych, jak znanych z lat 1920–30 z Bierdjajewa, Spenglera, proroków faszyzmu. Znalazł chwalcę nowego średniowiecza, mistyki, świętych przemian naszej epoki „od wewnątrz". Gdy czekają nas konkretne reformy, nareszcie historycznie dojrzałe, konkretna przemiana zewnętrznych, obiektywnych warunków życia ludzkiego, kiedy istnieją takie narzędzia działania proszące same niejako o myśl i plan racjonalny jak nowoczesna technika, organizacja produkcji, opanowanie sił energetycznych.

Wobec tego wszystkiego jak błysk wyjaśnienia czytamy zdanie tegoż p. Grabowskiego: „Nazwanie „faszystą" Madiaragi sprawia, że dzisiaj każdy prawdziwy Europejczyk może nosić z dumą to określenie„ „prawdziwy Europejczyk? Europejskość? Europeizm? Acha, przecież to kulawy Goebbels! Tak niedawno czytało się to co tydzień. Teraz rzadziej, tylko wtedy kiedy przyjdzie emigracyjna prasa z Londynu.

żlk.

Państwowy Instytut Wydawniczy

WARSZAWA, UL. TARGOWA 63. — TELEFON: PRAGA 193

Konto PKO Warszawa Nr I-853.

WYDAŁ DOTĄD:

KWIATKOWSKI E. — Budujemy nową Polskę nad Bałtykiem (w barwnej okładce) . . . . zł 25,—

ŻEROMSKI S. — O żołnierzu tułaczu. Wydanie nowe z przedmową Leona Kruczkowskiego (w barwnej okładce) . . . . . zł 30,—

ROGOWICZ W. — Topór faszyzmu nad głową Europy . . . . . zł 15,—

MELCER W. — Wyprawa na odzyskane ziemie . zł 20.—

WĄSOWSKI J. — Z pamiętnika wojennego . . zł 25,—

POWSTANIE W GHETCIE WARSZAWSKIM 1943 r. zł 15.—

TEKSTY USTAW o przejęciu na własność Państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej oraz o zakładaniu nowych przedsiębiorstw i popieraniu inicjatywy prywatnej w przemyśle i handlu, z przemówieniami ministra przemysłu Hilarego Minca . . . . . zł 5,—

UKAŻĄ SIĘ NIEBAWEM:

MAKOWSKI J. — Organizacja Narodów Zjednoczonych.

BOREJSZA J. — A więc wybory...

PODPALACZE ŚWIATA. Wizerunki wodzów hitleryzmu i faszyzmu, pióra najwybitniejszych publicystów europejskich w przekładzie S. Pollaka, W. Rogowicza i in.

PŁOMIEŃSKI J. E. — W kręgu polskiej irredenty. (o E. Dembowskim, J. Szeli, Sacher-Masochu i rzezi galicyjskiej).

WARSZAWA — KIEDYŚ I DZISIAJ. Album fotografii artystycznych z tekstem Jerzego Andrzejewskiego w opracowaniu graficznym prof. T. Gronowskiego. Wyd. luksusowe.

BATOWSKI H. — Współpraca słowiańska. Zagadnienia polityczne, kulturalne i gospodarcze w przeszłości i teraźniejszości.

DO NABYCIA W KSIĘGARNI PAŃSTWOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO WARSZAWA, ul. Targowa 63.

Wysyłka zamiejscowa za doliczeniem porta. — **Wpłaty na PKO WARSZAWA Nr I-853. — Żądać we wszystkich księgarniach.**

CENTRALA ŻELAZA I STALI

Katowice Ligonia 7

Telefon 329-61

Skrót telegraficzny „CENTROSTAL"

NOTY

KTO RZĄDZI TEATREM WOJSKA?

„Robotnik" (7 lutego) ogłasza list Janusza Minkiewicza do Juljana Tuwima, zapraszający poetę do kraju i do Łodzi. Minkiewicz dowcipnie zestawia na kilku przykładach zagraniczne fantazje na temat stosunków w Polsce z faktycznymi bolączkami życia w kraju.

„Lechoń grzmi, że Polskę nam bolszewizują, a nas zawstydza fakt, że w pewnym, bardzo reprezentacyjnym teatrze łódzkim, nie mogą znaleźć pola do pracy wybitnie utalentowani ludzie dlatego, że ich przekonania polityczne wydają się grupce rządzącej tym teatrem — zbyt lewicowymi".

Mowa o łódzkim Teatrze Wojska Polskiego. Dyrektorem tego teatru jest mjr. Krasnowiecki. Bezpośrednimi zwierzchnikami teatru są odpowiednie władze wojskowe oraz Minister i Wiceminister Kultury i Sztuki. A kto jest odpowiedzialny moralnie za samozwańcze rządy jakiejś grupki, o której czytamy w „Robotniku"? **rdc**

Z NASZEJ OŚWIATY DOROSŁYCH

Tak by się zdawało, że ten rodzaj oświaty powinienby najbardziej wtopić się w nurt ogólnych przemian gospodarczo-społecznych. Nowa rzeczywistość powołuje szerokie masy robotnicze i chłopskie do nowych zadań i cóż bardziej naturalnego jak oczekiwać, że oświata dorosłych weźmie na siebie wielki obowiązek ułatwiać, czy wręcz umożliwić masom spełnienie tych zadań. Tymczasem...

Powstał niedawno Ludowy Instytut Oświaty i Kultury. Dobrze, że powstał. Wychodzą już dwa pisma wydawane przez tenże Instytut. Dobrze, że wychodzą. Ale niedobrze, że ludzie, którzy do tej pracy stanęli ciągle jeszcze tkwią w idealistycznych oparach przeszłości. Wystarczy trochę zdrowego rozsądku, żeby zrozumieć, że polityka oświatowa tego rodzaju instytucji musi się oprzeć na gruntownej analizie rzeczywiwistości gospodarczej i społecznej. Trzeba społeczeństwu pomóc, ale przecież wpierw musi się wiedzieć, jakie są jego potrzeby, do czego konkretnie dąży, z jakimi trudnościami musi się borykać. Niestety! Redakcja „Oświaty i Kultury" o wiele wyżej chce sięgać. Takie poziome rzeczy — fe, po cóż? Któżby się o to kłopotał! Ważniejsze jest „odbudowanie człowieka, zagubionego w odmęcie niespotykanego w dziejach barbarzyństwa okresu wojny, przywrócenie mu poczucia własnej godności i dostojeństwa ideałów, którym służyć ma w swym życiu". Nic dziwnego, że jeden z autorów domaga się dalej stworzenia „własnego polskiego systemu ideologicznego, który trzeba oprzeć na zbadaniu pierwiastków duszy polskiej. Naczelne wartości ogólno-ludzkie: dobro i moc, prawda i piękno, muszą być wtopione w podłoże naszej odrębnej psychiki". — A wszystko po to, żeby stworzyć założenia ideowe, na których oprze się „program wychowania rzeczywiście narodowego".

I ci ludzie chcą kierować polityką oświatową na terenie najbardziej uzależnionym od życia, bo w oświacie dla dorosłych.

Panie Ministrze Wycechu, profesorze Chałasiński, Stefanie Żółkiewski, Adamie Ważyku i Wszyscy Święci — wytłumaczcie im przecie, że tak naprawdę nie można, że to nawet i nie wypada po prostu. Jeśli oni istotnie nie są wrogami marksizmu niechże przynajmniej odwołają się do zdrowego rozsądku. A jeszcze lepiej — niech czerpią z wiecznie żywej krynicy wiedzy. To na tymczasem wystarczy. A niedługo i tak będziemy musieli się spotkać. **buk**

SKOŃCZYĆ Z TYM!

Namyślałem się długo — co robić, gdy przeczytałem w ogłoszonym wierszu jeszcze okupacyjnym zmarłego tragicznie poety o przyszłej Polsce: „Imperium gdy powstanie to tylko z naszej krwi". Co robić z takimi akcentami faszystowskiego imperializmu?

Idzie tu o poetę konspiracyjnej grupy „Sztuka i Naród" skrajnie prawicowej, co tu gadać — antydemokratycznej, co tu owijać w bawełnę — faszystowskiej, co tu zmyślać — powiązanej personalnie z b. OWP. z b. ONR, z b. Falangą!

Nie mam zamiaru sądzić tych chłopców. Niektórych znałem. Tłumaczyła ich młodość, dezorientacja, totalna ignorancja, analfabetyzm społeczny i domowe tradycje korporanckie.

Do napisania noty zmusił mnie wreszcie zb. z „Odrodzenia", — nawet on — aprobujący fałszywe, legendotwórcze, mistyfikujące, czy może tylko reklamiarskie artykuły o tej grupie — pisane przez kolegów, którzy przeżyli. Artykuły takie umieszcza nawet oficjalne wydawnictwo M. S. Z., nie informując o innych przejawach życia literackiego w Polsce.

Otóż: **proszę z tym skończyć!**

Młodzi pisarze, którzy przeżyli i zrozumieli swoje błędy niech pracują i dadzą dowody patriotyzmu i rozumu politycznego. Polska dała im możność pracy i całkowitą swobodę.

Ale proszę skończyć z gloryfikowaniem swojej przeszłości i tworzeniem legend.

„Sztuka i Naród" bowiem drukowała nietylko debiutanckie wiersze. Drukowała także artykuły. I jeśli bawimy się w historię — to może by tak przytoczyć niektóre z nich dla charakterystyki?

Może właśnie polemikę z r. 1943 zmarłego Łomjenia — z „Przełomem" redagowanym przez Bieńkowskiego i Żółkiewskiego?

Może denuncjowanie walczących polskich partyj demokratycznych jako najemników obcych mocarstw?

Co u diabła! Chociaż milczcie! Jeśli wstydu trochę zostało! **żlk**

SZTUKA NARODOWA

W czasopismach prowincjonalnych czytamy od czasu do czasu zabawne artykuły. Niektóre z nich zasługują na szerszy rozgłos. Skarby niezamierzonego humoru zawiera np. recenzja z zimowej wystawy plastyków w Lublinie, zamieszczona w „Zdroju" lubelskim.

O malarzu Antonim Michalaku pisze obywatel Marian Morelowski m. in.: „Michalak potrafi oddać nieuchwytną finezję duszy i gracji niewieściej, albo wręcz na odwrót — ukazać się w innym portrecie niepokojącym satyrykiem. Ma iście malarską pasję do barwy i wariantowania nią od harmonii miękkich do brutalnych ekspresji. A przez uproszczenia, przez głębokie studium rysunku formy, dochodzi do monumentalności. Tak np. w serii wielkich projektów dekoracji ściennej kościoła w Dratowie. Ukazuje się w niej mistrzem o zdolnościach do tworzenia epopei ludu naszego. Galeria pierwszoplanowa chłopów ziemi lubelskiej, podpatrzonych znakomicie w swych rysach, postawach, w swej rasowości, w mocy i godności, z jaką oddają cześć Bogu, jawi się nam tak, jakby była wcieleniem tych praojców naszych, co chadzali pod Grunwald. Przez wyraz zaś uduchowienia w grającej na organach matronie wznosi się do Matejkowskiego poziomu".

Nie znamy obrazów Michalaka i nie wiemy, w jakim stopniu wyżej podana skromna charakterystyka jest trafna. Niezależnie od tego, trudno nie podziwiać na wiarę choćby, malarza, który para się „wcieleniem praojców naszych, co chadzali pod Grunwald" i potrafi oddać nieuchwytną finezję duszy i gracji niewieściej, albo wręcz na odwrót, lub „w grającej na organach matronie wznosi się do Matejkowskiego poziomu".

Zdolności rzeczywiście fenomenalne. A cóż dopiero mówić o Władysławie Filipiaku, który, jak pisze recenzent, odkrył „bryłę, istotę wszechrzeczy". Nic dziwnego, że wobec tak wspaniałych wyników recenzent mówi o „pożegnaniu (przez artystów lubelskich) pewnej paryskiej maniery, zawleczonej Bóg wie, po co do Polski, maniery, przy której wszystkie bryły zdają się być z waty, tak lub inaczej pomalowanej". Górą nasi! **mj**

PISMAK

Pismak z „Expressu ilustrowanego" przebrał miarę. Nieprzytomnym bełkotem ociekając ślinę z lubieżności i mlaskając z zachwytu, zwierza swym niewybrednym czytelnikom takie rewelacje:

„Do morfiny uciekają się przeważnie inteleklualiści, artyści, pisarze, tancerki i kokoty. Dobrobyt i zabezpieczenie przeciętnego obywatela, urzędnika i kupca wzrasta w stosunku do spędzonych w danej dziedzinie pracy lat. Autor zadaje sobie po każdej nowowydanej książce pytanie: **„Czy uda mi się raz jeszcze? Czy twórczość moja się jeszcze nie wyczerpała?"**

Najwna na scenie, tancerka: kokota, **bałając z obawą twarz w lustrze, ilekroć poprzedniego wieczora jakaś młodsza rywalka ukazuje się na widowni jej życia.** Mała strzykawka przywraca **wiarę w siebie i każe zapomnieć o starzeniu się. Poczynając od Baudelaire'a strzykawka ta stanowi uświęcony rekwizyt zawodu literackiego".** (Wszystkie podkreślenia „Expressu").

Pismak z „Expressu" ma zbyt dużo wiary w siebie. Naśladując przedwojenne „Czerwoniaki", uczeń zdystansował mistrza w szerzeniu brudnych i głupawych sensacyjek i pornografii, w opowiadaniu idjotycznych bujd, ukierunkowanych na łatwowierność maluczkich, ubogich duchem. Pismak jednak gwałtownie stara się wmówić np. że intelektualiści, pisarze, artyści, tancerki i kokoty nie mogą żyć bez morfiny. Nie chodzi tu o wymienionych pracowników zawodów wyzwolonych, tak zręcznie umieszczonych przez „dziennikarza" z „Expressu" w jednym szeregu. Zapewniam, że spośród wszystkich znanych mi intelektualistów i pisarzy jeden tylko dr Mikułko używa niekiedy strzykawki i to dlatego tylko, że stanowi ona uświęcony rekwizyt zawodu lekarskiego. Chodzi o coś znacznie ważniejszego — pismak, pisząc w ten sposób, uwłacza nie tylko intelektualistom i literatom, — uwłacza godności zawodu dziennikarskiego, do którego się zalicza. Dziennikarz ma dziś doprawdy co innego do roboty i inną rolę do spełnienia niż wypisywanie pornograficznych brecht.

Pismak kilka już razy dostał po łapach. Ale jest niepoprawny. W tym samym numerze „Expressu" w odcinku znajdujemy taki passus: „przez cienką suknię wyczuwał gorąc(!) młodego, jędrnego ciała. Uścisk jej dziewczęcej dłoni stawał się coraz wymowniejszy, coraz bardziej drażniący, niby wstęp do najbardziej rafinowanej(!) pieszczoty".

Konia z rzędem, jeśli autor i redaktorzy „Expressu" nie powinni udać się do lekarza - seksuologa! A jeśli nie, to tym gorzej, bo robią brudną robotę na zimno. **sp**

„...NIE WYBIERA SIĘ STYLU. TEN JEST DANY"

To sławne już w kołach pisarzy i teoretyków literatury zdanie — jest niesłychanie niepokojącym symptomem. Sprowokował je zdolny krytyk, napisał wybitny badacz literatury. Ile zawiera sensu wykazał awk. w poprzednim numerze „Kuźnicy". Okazało się że sensu jest pozbawione zupełnie. Ale na tej analizie poprzestać nie należy. Fakt pojawienia się takiego twierdzenia i w takich okolicznościach jest groźnym symptomem pewnych ogólniejszych procesów. Wszelkie przemiany metodologiczne, proces nauczania, poprostu postęp humanistyki (w tym i teorji literatury) związany był z postępem dyskusji nad możliwościami określenia rzeczywistości kulturalnej. Bez rozstrzygnięcia tego zagadnienia niemożliwe było unaukowienie jakiejkolwiek szczegółowej dyscypliny humanistycznej: Każda bowiem — a zwłaszcza teoria literatury — musi korzystać z wyników innych. Tymczasem każda z tych dyscyplin opierała się na innej interpretacji rzeczywistości kulturalnej w ogóle i przez to swego szczegółowego zakresu. Jak rozważać np. proces powstawania dzieła literackiego pojmowanego jako przedmiot intencjonalny (Ingarden), posiłkując się danymi socjologicznymi dotyczącymi działania ludzkiego w ogóle, jeśli np. w teoriach socjologicznych wytwory ludzkie są tylko dokumentami niezmiennej danej natury ludzkiej. (Malinowski).

Nie ma możności w tych warunkach wzmacniać naukowe sądy literaturoznawstwa naukowymi wynikami socjologii. Bo tak jak jest w naszym przykładzie fenomenologiczna teoria kultury i naturalistyczna teoria kultury mówią w istocie o czym innym, używając tak samo dźwięczących słów: kultura, człowiek, dzieło ludzkie. Przed r. 1929 stan naszej humanistyki był opłakany. Te trudne problemy teoretyczne były znane paru ludziom (Łempicki Z., Znaniecki i całe środowisko socjologiczne.—Czarnowski). Poza tym mieliśmy do czynienia z kolekcjonerami faktów, anegdot, ciekawostek historycznych. Nie wiedzieli po co te fakty zbierają, nie wyobrażali sobie tej przyszłej syntezy Żyli odwieczną tradycją filologiczną. Tym niemniej wojna o zmianę tego stanu rzeczy była prowadzona. Wystarczy zacytować cenne recenzje Przeglądu Socjologicznego—prace Szczurkiewicza, Szczepańskiego, wielu filozofów (Ajdukiewicz, Sztejnberżanka, Metalkman). Dorobek życia cytowanych wyżej wielkich uczonych. Zwłaszcza wiele się zrobiło w zakresie wiedzy o literaturze. Obok Kridla i Łempickiego byli młodsi — zespół, który zaprezentował swoje konsekwentne, metodologicznie rewolucyjne, nowatorskie stanowisko w księdze pamiątkowej ku czci K. Wóycickiego (Wilno 1937). Mówiąc z grubasza szło tam:

1) o zbudowanie pomostu między dociekaniami literackimi dotyczącymi dzieła — a socjologicznymi i historycznymi dotyczącymi człowieka — a więc i twórcy;

2) Aby pełna wiedza o literaturze nie była pustym formalizmem, nie mówiąc o naiwnym, bezkrytycznym, niweczącym właściwą literacką problematykę — biografiźmie;

3) Dlatego wykazywano zasadniczą jedność wiedzy o literaturze i humanistyki, której ta pierwsza jest tylko gałęzią. Fakty literackie są kulturowymi a więc społecznymi jako fakty językowe;

4) W związku z tym dążono do ustalenia właściwej interpretacji rzeczywistości językowej — przezwyciężając zarówno idealizm (Vossler), jak i psychologizm (Spitzer). Praca ta przeprowadzona była w skali światowego językoznawstwa. Wyniki były już przed rokiem 1939, dzięki Bühlerowi, Troubetzkojowi, Jakobsonowi, Jespersenowi. Wydawało się, że wszyscy umieją (jak chciał Czarnowski) traktować język (i styl i dzieło) jako zespół rzeczowych danych, nie zaś jako symbole wyobrażeń psychicznych, lub zgoła sił metafizycznych, które są dane, których się nie wybiera, które determinują człowieka-twórcę, które stanowią istotę jego indywidualności. Wydawało się... A tymczasem — to co czytamy w różnych artykułach o literaturze i o problemach kultury — świadczy, że nic z tych dociekań nie dotarło do świadomości nawet starych specjalistów. Droga, która wydawała się utorowana — jest znów zawalona przez zawieję bredni i ignoracji.

Humaniści muszą przejść przez kurs metodologiczny. Formalne problemy wszelkiej teorii naukowej nie mogą być im obce. Muszą nauczyć się konsekwentnie orjentować w różnych „izmach" jeśli idzie o teorię kultury.

I dlatego 1) należy wprowadzić obowiązkowe egzaminy z metodologii nauk humanistycznych dla wszystkich kończących wydziały humanistyczne; 2) należy aby Ministerstwa Oświaty i Kultury zrobiły wszystko dla nawiązania nowych, żywych kontaktów z nauką zagraniczną. Musi być żywa wymiana stypendystów. Muszą znów wychodzić nasze pisma naukowe: Przegląd Socjologiczny, Ruch Prawniczy..., Przegląd filozoficzny, Nauka Polska, Przegląd i Kwartalnik historyczny i wszystkie inne.

Te dezyderaty nie są nowe. Publikuję je jednak, aby podkreślić ich pilność. Nie o to chodzi, że w ogóle trzeba... Trzeba natychmiast! Okazuje się bowiem, że do 1939 r. — dopiero torowaliśmy drogi. A po 1945, że trzeba robotę od początku, na nowo zaczynać. Czy mamy być o sto lat spóźnieni w stosunku do Europy? **żlk**

KIEDY KONIEC WOJNY?

Powszechnie wiadomo, że doc. U. W. Bolesław Olszewicz zajął się pożyteczną pracą zebrania wiadomości o wszystkich stratach personalnych kultury polskiej w okresie wojennym. W różnych czasopismach czytaliśmy różne fragmenty tych tragicznych rejestrów, względnie te same rejestry w różnych układach (alfabetycznym, rzeczowym i t. d.).

Ale jedna rzecz w zestawieniach tych zaciekawia.

W 1-szym nrze „Nuki i Sztuik" (str. 142) znajdujemy np. wymienionego Rektora Wolnej Wszechnicy Polskiej, prof. T. Viewegera, który jak wiadomo zmarł w katastrofie samochodowej w połowie maja r. b. Myśleliśmy, że przypadkowa pomyłka.

Tymczasem w wydanym niedawno pierwszym powojennym numerze „Szkół Wyższych" znajdujemy już expressis verbis wyrażone przyznanie doc. Olszewicza, że rejestr jego nie jest jeszcze zamknięty. I to nie tylko dlatego, że o szeregu ludzi brak dotąd wiadomości. Doc. Olszewicz podaje mianowicie, że spis jego obejmuje osoby „które zmarły pomiędzy 1.IX.1939 i 10.X.1945". Pierwszą datę znamy. Ale długo i napróżno usiłowaliśmy sobie przypomnieć, co wiekopomnego zdarzyło się dn. 10.X1945? Bo przecież nawet nie kapitulacja Japonii?! A więc cóż? Sprawa przedstawia się prosto. *Po prostu zdaje się że 10.X.1945* doc. Olszewicz oddał swe materiały redakcji. Gdyby uczynił to 10.XII. — pomieściłby jeszcze i zmarłych w następnych dwóch miesiącach. Pocieszmy się: w następnym jakimś czasopiśmie możemy oczekiwać wykazu, dociągniętego do 1.2.1946 lub dalej.

Wolno p. Olszewiczowi żyć w miłym śnie, że wojna się jeszcze nie skończyła — ale dlaczego poważne redakcje takie stanowisko aprobują?

skr

CZŁOWIEK JEST ZAGADKĄ

W dwutygodniku społeczno - oświatowym „Światło", wychodzącym w Lublinie, w artykule p. t. „W dwudziestolecie śmierci Jesjenina" znajdujemy następującą wnikliwą charakterystykę rosyjskiego poety:

„Chłop w cylindrze. Franciszkański chuligan. Religijny ateusz. Rewolucjonista tkwiący jedną nogą w przeszłości. Romeo opiewający „zapach miodu niewinnej dłoni" i don Juan opluwający swą wzniosłą miłość w karczmie wśród prostytutek. Apologeta życia tęskniący do śmierci.

A może po prostu człowiek, któremu nil humanum alienum erat (nic ludzkiego nie było obce)."

Człowieka, któremu nil humanum alienum est możemy sobie wyobrazić w innej jeszcze kombinacji. Spróbujmy na przykład w ten sposób:

Mieszczuch w siermiędze. Chuligański franciszkanin. Bezbożny bigot. Konserwatysta jedną nogą przekraczający barykadę. Don Juan opluwający „zapach miodu niewinnej dłoni" i sutener opiewający swą wzniosłą miłość do Julij Capulem. Apologeta śmierci tęskniący do życia.

Albo też jeszcze inaczej:

Chuligan w cylindrze. Franciszkański ateusz. Chłop opiewający „zapach miodu niewinnej dłoni". Religijny Romeo itd. itd., bo przecież o zieleni można nieskończenie, a jak komu nic ludzkiego nie jest obce, to i te możliwości trzeba przecież wyczerpać. Pomimo to chciałbym bardzo dowiedzieć się, czy w przytoczonej charakterystyce Jesjenina nie zmieściłaby się np. postać św. Jana Chrzciciela, Kemala Ataturka i poety Kazimierza, Andrzeja Jaworskiego. Autorowi artykułu, entuzjaście i tłumaczowi poezji Sergjusza Jesjenina, można powinszować naukowej i precyzyjnej metody krytyki literackiej. **sp**

CENY OGŁOSZEŃ: K lumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8,000:1/16 kolumny zł 5,000; Drobne ogłoszenia 25 zł1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

D—02914

Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.